MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 13. WARSZAWA, 12 MARCA 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

PAŃSTWO ABSOLUTYSTYCZNE I JEGO ZWYRODNIENIE

Żyjemy w okresie wzmocnienia władzy państwowej. Stopniowy upadek doktryn „demo-liberalnych", niezdolność skrajnych systemów parlamentarnych do rozwiązania wielkich zagadnień współczesnych, wspomnienie wojny światowej i metod wojskowych, wreszcie kryzys ekonomiczny stworzyły warunki, ułatwiające wywyższenie autorytetu państwowego, jako takiego.

Wbrew pozorom, przesilenie ekonomiczne stwarza okoliczności raczej korzystne dla ugruntowania omnipotencji państwa. Z kryzysu mógł się rodzić albo rozkład, albo dyktatura. Przeważnie rodziła się dyktatura, przybierająca różne formy. W czasach ciężkich, w czasach, wymagających podejmowania szybkich decyzyj, szukano autorytetu jednostek lub grup. Kryzys ułatwiał omnipotencję państwa w inny jeszcze sposób: ubożejące i bankrutujące życie gospodarcze zaczęło domagać się pomocy właśnie od państwa. Państwo pomoc dawało, lecz jednocześnie uzależniało gospodarkę od siebie. Rozwój etatyzmu powojennego ma różne powody: wpływ przedwojennych doktryn socjalistycznych, wpływ industrjalizmu itd. Ale główną jego przyczyną jest kryzys.

Powrotu do czystego systemu parlamentarnego i do osłabienia etatyzmu należałoby oczekiwać nie od dalszego kryzysu, ale od nowego rozkwitu dobrobytu, któryby uniezależnił gospodarkę od państwa, przywracając silną warstwę ludzi majętnych i niezawisłych. Parlamentaryzm, to ustrój tak zwanej „burżuazji". Gdy jej niema, lub gdy jest osłabiona, brak warunków dla odrodzenia systemu, który rozwijał się tak mocno przed wojną, a dziś funkcjonuje tylko w krajach, które jeszcze nazwać można bogatemi.

Prof. Antoni Wereszczyński w książce „Państwo antyczne i jego renesansy" wskazuje na „świt nowego renesansu państwa antycznego", państwa silnego, przeciwstawiającego się państwu liberalnemu. Historja ustrojów państwowych wyraźnie wskazuje na cykle poszczególnych systemów konstytucyjnych, na ciągłe reakcje i kontrakcje, jakie w tej dziedzinie następują. Jeden system się rodzi, gdy drugi wyrodnieje. A każdy system ma skłonność do zwyrodnienia.

Dziś mamy do czynienia z coraz dalej posuwającą się omnipotencją państwa. Wkracza ono we wszystkie dziedziny, wszystko chce regulować i rozstrzygać. Jedną z form tego objawu jest etatyzm gospodarczy. Ale i ten system — o ile zawczasu się nie zahamuje — może oczekiwać swego zwyrodnienia w formie państwa policyjnego. Prof. Wereszczyński, w omawianej przez nas książce, odróżnia wyraźnie państwo absolutystyczne od państwa policyjnego. Jeżeli jest zwolennikiem pierwszego, to nie ukrywa niebezpieczeństw państwa policyjnego.

Państwo antyczne było absolutystyczne, ale, rzecz ciekawa, zwyrodniało ono w despotyzm pod wpływem wschodnim. Wpływy wschodnie dały się

odczuć w Grecji, gdzie państwo mieszało się do wszystkiego i gdzie etatyzm rozwijał się bardzo silnie. Ale nie dotarły w tym stopniu do Rzymu, gdzie np. etatyzmu nie było. Natomiast państwo bizantyjskie, które powstało na części gruzów państwa rzymskiego, uległo znowu duchowi wschodu i popadło w despotyzm, co pociągnęło jego stopniowy upadek.

Policyjne państwo z XVIII wieku wywodzi się z odrodzenia państwa antycznego w formie renesansowego państwa włoskiego. Charakteryzuje je ścisła reglementacja życia społecznego i chęć naginania życia gospodarczego do swoich nakazów. Wyniki gospodarcze państwa policyjnego są, zdaniem prof. Wereszczyńskiego, uderzająco niekorzystne, wywołując przy wzroście wydatków dworów i administracji państwowej „ucisk podatkowy i ogólne przesilenie ekonomiczne, jako następstwo nieudolnej, jednostronnej, a dyktatorskiej ingerencji państwa". „Państwo policyjne" — czytamy dalej — „chcąc myśleć za wszystkich i lekceważąc inicjatywę prywatną społeczeństwa, stara się wziąć w swe ręce potrzeby lokalne, przez co niszczy się samorząd i sprowadza upadek miast i ludności miejskiej z dużą szkodą dla własnych podstaw ekonomicznych".

W związku z temi rozważaniami szczególnie interesujące stają się wywody cytowanego już przez nas[1]) p. Marcelego de la Bigne de Villeneuve, profesora Francuskiej Szkoły Prawa w Kairze. Poglądy jego są ciekawe również dlatego, że autor jest zdecydowanym przeciwnikiem nieograniczonego parlamentaryzmu oraz systemu „demoliberalnego", natomiast opowiada się za budową państwa, z silną władzą naczelną. Nie trudno domyśleć się wyraźnych jego sympatyj dla nacjonalistów francuskich z rojalistycznej grupy *„L'Action Française"*. Wnioski jego ustrojowe zmierzają ku systemowi monarchistycznemu. Mimo jednak dość skrajnego ujęcia przedmiotu, praca naukowa prof. Marcel de la Bigne de Villeneuve jest ciekawem odbiciem dokonywającej się ewolucji we francuskiej nauce o państwie, ułatwiając znakomicie wyjaśnienie szeregu zagadnień, które kryzys współczesny splątał w sposób chaotyczny.

Będąc zwolennikiem silnej władzy, p. de la Bigne występuje przeciw nieograniczonej i arbitralnej suwerenności państwa, jaka wypływa z teoryj Rousseau'a, Jellinka, Kelsena. Podkreśla wielokrotnie, że władzę państwową ogranicza interes ogólny i dobro wspólne, jakiemu ona winna służyć. Władza państwa jest udzielna tylko w zakresie funkcyj ściśle państwowych, natomiast nie może się mieszać do innych dziedzin życia, jak np. do życia rodzinnego, czy społecznego, ujętego w odrębne organizacje.

[1]) Por. art. „Absolutyzm a indywidualizm", „Myśl Narodowa", nr. 10 z dn. 10 lutego r. b.

Zaraz na wstępie, pisząc o powstawaniu państwa, p. de la Bigne stwierdza, że sam gwałt i siła nie są zdolne do jego utrzymania. Bunt stałby się wówczas, jak powiada, jeżeli nie pierwszym z obowiązków, to przynajmniej pierwszem uprawnieniem. Oprócz siły potrzebna jest idea sprawiedliwości, wykonywanej przez dane władze państwowe, które poczuwać się muszą do opieki nad całą społecznością. Nie można, jak pisze dalej, rządzić tylko strachem, trzeba uświęcać swoją władzę sprawiedliwością. Ostateczne ufundowanie społeczeństwa następuje wówczas, gdy interesy, potrzeby publiczne i siła są uregulowane przez prawo.

P. de la Bigne, pisarz nacjonalistyczny i antydemokratyczny, przeciwstawia się bardzo silnie niemieckim teorjom o państwie, które, przejęte poglądami Hegla, wypowiadają się za omnipotencją władzy państwowej. Nie identyfikuje on nacjonalizmu ze zbrojnym etatyzmem, nie twierdzi, by nacjonalizm był synonimem niczem nieograniczonej władzy państwa.

Obecny jednak okres charakteryzuje rozwój właśnie etatyzmu, i to we wszystkich państwach, również demokratycznych i parlamentarnych. Widzimy, powiada p. de la Bigne, jak „najwyższa władza państwowa rozprzestrzenia się na wszystko, jak ciąży pod każdym względem na wszystkich składnikach społeczeństwa „Wiemy", — pisze dalej — „że ewolucja idzie obecnie w tym kierunku, lecz trzeba oprzeć się jej energicznie i to na terenie zasadniczym, jeżeli nie chcemy popaść pod duszącą i śmiertelną opresję, i uczynić z państwa — gigantycznego potwora, rządzącego na pustyni".

P. de la Bigne idzie tak daleko w obronie życia społecznego, że stawia następującą formułę: „państwo jest suwerenne w dziedzinie politycznej, lecz każde zrzeszenie ludzkie, od rodziny począwszy, jest niezależne w swoim zakresie". Autor stwierdza, że „społeczność nie stanowi systemu, opartego na prostej hierarchji, ale na hierarchji skomplikowanej", gdyż „społeczność nie jest mechanizmem, jest to organizm delikatny i tajemniczy, w którym krążą siła i życie".

Autor wyraża opinję, że byłoby prościej poddać całe życie społeczne państwu, lecz to mogłoby doprowadzić do „najgorszych nieporządków, do skoszarowania społeczeństwa pod dyktaturą nieszczęsną, przytłaczającą, a wreszcie niszczącą autorytet, rzekomo przez nią wywyższony", o ile chciałoby się wyzyskać autorytet najwyższy, by wkraczać w dziedziny, które do niego nie należą, i musiałoby, przez swoją niekompetencję w połączeniu ze swą przeważającą siłą, wywołać niebywałe spustoszenia. „Państwo osłabiłoby wówczas i wyczerpałoby słuszne interesy poszczególne, nawet gdyby je napozór wspierało. Poddałoby je bowiem naciskowi nienaturalnemu".

Tak pisze uczony, który jest zwolennikiem silnej władzy państwowej i przeciwnikiem systemu parlamentarnego. Siły państwa nie upatruje w jego absolutyzmie, ani w dyktaturze, czy w etatyzmie. Siłę tę widzi przedewszystkiem w mocnej i harmonijnej budowie społeczeństwa, w rozumnym rozdziale kompetencyj pomiędzy poszczególne autorytety, zrzeszenia i organizacje, mające autonomję w swoim zakresie, z władzami państwowemi, cieszącemi się niezależnością w dziedzinie politycznej, na czele Uważa, że dla trwałej budowy państwa nie starczy mocna organizacja aparatu państwowego, potrzeba jeszcze i przedewszystkiem organizacji narodu.

Systemy absolutystyczno-policyjne nie zapewniały na dłuższą metę siły państwowej. Zwykle kończyły się mniej lub więcej katastrofalnie. Różne tego były powody. Ale najważniejsze wypływały z dążenia do dezorganizowania społeczeństwa. Systemy policyjne nie mogą znieść obok siebie sił społecznych, niezależnych w swoim zakresie. Muszę je sobie poddać. Ale to podporządkowanie, wyłączne i absolutne, odbywa się kosztem niszczenia samodzielnego instynktu społecznego, który stanowi jeden z najcenniejszych objawów życia ludzkiego, będąc zawsze wyrazem żywotności, a nieraz samoobrony narodowej. Systemy policyjne niszczą również charaktery ludzkie. Chcą rządzić strachem, przez zupełne wyzucie człowieka z własnych myśli i poglądów na losy kraju, co prowadzi do odebrania mu poczucia odpowiedzialności i gotowości do obrony interesów narodowych. A właśnie do rozwinięcia niewymuszonego zmysłu odpowiedzialności za kraj w całym narodzie oraz do rozwoju zdrowego systemu społecznego dąży nacjonalizm.

Niebezpieczeństwa zwyrodnienia systemu absolutystycznego są widoczne. Niebezpieczeństwa te są również innej natury. Jeżeli kryzys gospodarczy stworzył warunki dla powstania absolutyzmu państwowego, to dłuższe jego trwanie, doprowadzając do coraz większego wyczerpania finansów państwowych, utrudnić gotowe utrzymanie rozrośniętej machiny państwowej. Coprawda, wśród ogólnego ubóstwa, państwo będzie stosunkowo zawsze najbogatsze, coprawda za oddawane sobie usługi będzie mogło płacić coraz mniej, to jednak koszty utrzymania jego okazać się mogą zbyt wygórowane i przekroczą możliwości społeczeństwa, zwłaszcza, że absolutyzm państwowy ma nieubłaganą, fatalistyczną tendencję do rozrastania się. Wówczas też siłą rzeczy będą musiały dojść do głosu odsuwane dotąd siły społeczne, którym państwo będzie zmuszone zwrócić część funkcyj, zagarniętych w okresie rozkwitu systemu policyjnego. Wówczas też spodziewać się można reakcji. Pozostaje pytanie, jaką ona będzie?

RYSZARD PIESTRZYŃSKI

NA MARGINESIE OSTATNICH WYPADKÓW AMERYKAŃSKICH

OBJĘCIE WŁADZY PRZEZ ROOSEVELTA i sprawa dolara zwróciły znowu uwagę Europy na „wuja Sama". Mniejwięcej w tymżesamym czasie otrzymałem przypadkiem z Paryża paczkę gazet, niezbyt świeżych, bo datujących się z okresu od lutego do kwietnia ub. r., ale zawsze aktualnych, tembardziej, że „ewidencja" tych zagadnień w Polsce, bałamucącej się jeszcze naogół dużo pośledniejszymi problematami, wiele pozostawia do życzenia. Paczka ta zawierała dziewięć numerów *„Figaro"* (18 lutego — 20 kwietnia 1932) z artykułami p. Franciszka Coty'ego, właściciela i dyrektora tego pisma, na temat finansjery *„qui mén le monde"*.

„Oto są" — przedstawia ją w zapowiedzi p. Coty — „wielcy ci piraci międzynarodowej finasjery, dla której komunizm służy jako siła zbrojna..., dla której Liga Narodów funkcjonuje jako parlament, na której użytek Moskwa, Berlin i Waszyngton stanowią trzy główne wielkie kwatery..."

I

P. Coty zastrzega się we wstępie do swoich artykułów, że nie jest antysemitą *en bloc*, składa też hołd zasłudze „bankierów farancuskich", jak Rotszyldowie" (!). Ale co do stosunków amerykańskich, nie nakłada sobie opaski na oczy: twierdzi mianowicie, za *congresman*'em Mac Faddenem, że Hoover zawdzięczał swój wybór wpływom nowojorskiego banku „Kuhn, Loeb i Ska", naczelnego banku żydowskiego w Stanach, kierownikiem zaś tego banku przez lat trzydzieści był — jak wywodzi dalej — Jakób Schiff, „wcielenie najdoskonalsze finansjery międzynarodowej i rewolucyjnej".

Schiff, którego poznaliśmy już cześciowo, dzięki zwłaszcza żydoznawczej książce Nieczwołodowa, wywodził się filjacją swoją, jak wielu innych wpływowych żydów, z frankfurckiej oficyny Rotszyldów. To też, wyemigrowawszy nawet do Ameryki, zachował Schiff ścisły kontakt z bankami żydowsko-niemieckimi. Ale zainteresowania jego polityczne szły w innym przedewszystkiem kierunku, w kierunku spraw rosyjskich. W stałym kontakcie z rewolucjonistami rosyjskimi, subwencjonując, z drugiej strony, skarb japoński w czasie wojny 1904/5 roku, odegrał dom „Kuhn, Loeb i Ska", z Schiffem, jako kierownikiem, rolę, zdaniem p. Coty'ego, rozstrzygającą już w wielkim, pierwszym rewolucyjnym przełomie rosyjskim. Kiedy zaś, po dwuletnich zmaganiach, które podważyły potęgę kolosa rosyjskiego, a które Japonji ułatwić musiało znacznie awansowane przez ową finansjerę nowojorską złoto, ściągnąć udało się do Portsmouthu

kreaturze jej, pierwszemu Rooseveltowi, pełnomocników obojga stron wojujących, zjawili się w kwaterze głównego przedstawiciela rosyjskiego, hr. Sergjusza Wittego, jak to tenże Witte opisuje w „Pamiętnikach“ swoich (Berlin 1932 I. 394-5)— nieoczekiwanie pełnomocnicy strony trzeciej, a to Jakób Schiff w towarzystwie dr. Straussa (ex-dyplomaty amerykańskiego) oraz p. Kraussa, ówczesnego w. mistrza „*Bnai-Brith*'u“. „Panowie ci“ — zaznacza mianowicie Witte — „pozostawali w najlepszych stosunkach z prezydentem Rooseveltem...“ Usłyszał Witte od nich, że przyczyną nieszczęść ostatnich Rosji było upośledzenie w tym kraju żydów, że jednak wszystko ulec może zmianie, o ile przyzna się tym ostatnim równouprawnienie. Ponieważ jednak Witte, aczkolwiek sam żonaty z żydówką, nie czuł się w możności pójść na tak daleko posunięte ustępstwa, wybuchnął gwałtowny z natury Schiff — jak wiemy o tem z przemówienia Kraussa na konwencie Wielkiej Loży „*Bnai Brith*'u — i zapowiedział wyraźnie: „Jeżeli car nie zgodzi się przyznać narodowi mojemu żądanych przezeń wolności, to rewolucja doprowadzi wtedy (w Rosji) do ustroju republikańskiego, zapomocą którego (naród ten) i tak pozyska swoje prawa“.

II

Tymczasem, — objaśnia nas dalej p. Coty — podczas gdy, już po zawarciu pokoju portsmuckiego, trwała, a raczej przygotowywała się dla Rosji rozprawa ostateczna z ową trzecią potęgą, zaszły w Ameryce samej dosyć interesujące wypadki. Oto prezydentem, po ustąpieniu Roosevelta, został niezależny od wszechpotężnego banku „Kuhn, Loeb i Ska” William H. Taft. I oto, jak pomiędzy wybrańcem „wielkiej demokracji“, pozbawionym aprobaty siły wyższej, a rzeczoną siłą wyższą doszło niebawem do konfiktu:

Rzecz poszła o dobrze znaną nam Polakom, t. zw. rosyjską „linię osiadłości“, odgradzającą żydów od obszarów rdzennie rosyjskich. Żydzi wykręcali się przecie naogół w ten sposób od tego zakazu, że przyjmowali obywatelstwo amerykańskie, po pierwszej jednak rewolucji rosyjskiej i wykazanym ich w niej udziale (niejednokrotnie właśnie pod flagą amerykańską), przestał rząd rosyjski uwzględniać takie obejścia prawa, zwłaszcza, że do samego Petersburga wtargnęło, dzięki wspomnianemu „kruczkowi“, blisko 30.000 izraelitów. Wówczas żydzi (a w szczególności menerzy rewolucyjni z pomiędzy tychże) zwrócili się o pomoc do domu „Kuhn, Loeb i Ska“ i znowu zjawił się — tym razem w „Białym Domu“ (15 lutego 1911) — Jakób Schff, znowu w towarzystwie Kraussa, dalej zaś Ludwika Marshalla i dwóch innych żydów. Rozpoczęło się od intymnego śniadania w gronie rodziny Taftów, potem zaś przeszło się do „*studja*“ prezydjalnego na konferencję polityczną. Schiff i towarzysze zażądali tam od Tafta kategorycznie represaljów w stosunku do Rosji pod postacią wypowiedzenia obowiązującego od lat 80-ciu w stosunku do tego państwa traktatu handlowego, gdy zaś prezydent wymówił się od tego kroku dobrze zrozumianym interesem amerykańskim, Schiff uniósł się ponownie, odmówił, wychodząc z pokoju, prezydentowi ręki i wykrzyknął już na schodach: „A więc wojna!“

Nazajutrz też wszystkie dzienniki, pozostające na żołdzie domu „Kuhn, Loeb i S-ka“, rzuciły się na Tafta, wygrywając przeciwko niemu tak popularne hasło, że „pozwala upokarzać przez despotę wschodniego obywateli amerykańskich“. Posypały się *meeting*'i i *ad hoc* tworzone komitety. Schiff rzucić miał aż trzy miljony dolarów na szalę tej kampanji. I — po dziesięciu miesiącach — cel jego został osiągnięty, skoro obie Izby kongresu amerykańskiego, „posłuszne, niby zgrana orkiestra, batucie“ Schiffa, wezwały prezydenta (w grudniu 1911 r.) do wypowiedzenia traktatu.

III

Czwarty artykuł z cyklu p. Coty'ego poświęcony jest „dynastji, wznoszącej się w Izraelu“. „Małżeństwa polityczne“,—pisze Coty—„obmyślane z większą starannością, aniżeli wiele związków pomiędzy domami panującymi, miałyby uświęcić zgromadzenie (nowych) sił finansowych wokoło pierwotnego jądra“. „I tak, córka bankiera Loeba i córka samego Schiffa wychodziły w latach 1895 i 1896 za mąż za bankierów hamburskich, Pawła i Feliksa Warburga... Będzie się miało“ — dodaje Coty — „pojęcie o kombinacjach światowych, które zostały umożliwione przez tego rodzaju związki prywatne, jeżeli się zważy, że, w czasie wielkiej wojny, podczas kiedy Max Warburg (brat wymienionych) był najbardziej słuchanym doradcą finansowym *Kaiser*'a, brat jego Paweł..., w charakterze administratora banku „Kuhn, Loeb i S-ka“ i założyciela „*Federal Reserve Bank*“, odgrywał przy boku prezydenta Wilsona rolę wielkiego skarbnika Stanów. „Ileż to krętych machinacyj“ — dodaje wydawca „*Figaro*“ — „ileż obezwładniających przeszkód mogło zostać w ten sposób nagromadzonych na drodze Aljantów, czego ludy, krwawiące się w okrutnym konflikcie, zgoła nie przeczuwały“.

Raport, złożony w roku 1912 kongresowi amerykańskiemu przez *ad hoc* wysadzoną komisję śledczą, ustalił co do tego cyfry naprawdę zdumiewające. I tak okazało się, że *trust* Kuhn, Loeb i S-ka ogarniał wtedy 5 wielkich banków, 112 banków drugorzędnych, nie licząc karteli i t. p., rozsianych po całej przestrzeni Stanów i w rozmaitych częściach świata. Dodając zaś do siebie kapitały, reprezentowane zarówno przez banki, wchodzące w skład tego *trust*'u, jak i przez zależne odeń przedsiębiorstwa, otrzymywało się cyfrę prawie niewiarogodną 22 miljardów, 245 miljonów dolarów. „Będzie się miało wyobrażenie“, — komentuje tę cyfrę Coty — „co ona znaczy, jeżeli się zważy, że pełny obecny majątek takiej Francji, włącznie z całem jej imperjum kolonjalnem, oceniony został przez ekonomistów na *circa* 1.500 miljardów franków. W dodatku zaś jeszcze nagromadzenie owych bogactw rozkłada się na państwo francuskie oraz na 40 miljonów istot ludzkich, podczas, gdy 556 miljardów, zgrupowanych w roku 1912 dookoła osoby Jakóba Schiffa, słuchało się jedynie rozkazów tego ostatniego. Było to zatem źródło mocy jeszcze niedorównane“. „Potężna dłoń tych *gentlemen*'ów“ — konkludował też raport do kongresu — „spoczywa na dźwigni, wprawiającej w ruch kredyt powszechny“... Ale „prasa informacyjna francuska“ — żali się p. Coty — „tak pilnie wtajemniczająca nas w każdą poszczególną ciekawostkę, tyczącą się filmu, kręconego w Hollywood, pominęła swojego czasu milczeniem tę aferę (raport)... (Narody wszakże, aczkolwiek znieczulone przez prasę..., która je karmi kryminali-

styką (i) zaprząta coraz bardziej kinem i pornografją... odczuwają przecie, że zagraża im coś olbrzymiego, a niesamowitego"...

IV

„Mocno by się zdziwiła Anglja" — dodaje do tych wywodów Coty —„ gdyby jej się powiedziało, że wszystkie te dotkliwe ciosy, których doznała od mniej, niżeli roku (rzecz pisana w kwietniu r. z.) — więc bunt „Floty domowej", więc spadek funta..., więc groźba secesji irlandzkiej — z jednej zadane zostały ręki". Autor motywuje te swoje twierdzenia: 1) faktem intryg bolszewickich na gruncie angielskiej marynarki; 2) trudnościami kredytowemi, czynionemi Anglji ze strony Stanów; 3) rolą wreszcie, jaką odegrał rzekomo w zamieszkach irlandzkich żyd-syonista pochodzenia litewskiego, nazwiskiem Robert Briscoë. Wychowany w „gheccie" dublińskiem, wzbił się Briscoë na stanowisko skarbnika p. De Valery. Podczas wojny, dzięki subsydjom domu „Kuhn, Loeb i S-ka", zorganizować miał Briscoë poważną kontrabandę broni i amunicji, która jakoby umożliwiła nacjonalistom irlandzkim podtrzymanie insurekcji. „Ten irlandczyk z przypadku" — dodaje p. Coty — „jest ożywiony w stosunku do Anglji nienawiścią płomienniejszą, niż rdzenni Irlandczycy, spadkobiercy ośmiu stuleci walk ze zdobywcami". I my znamy podobnych—nacjonalistów na dwa fronty! Analogicznie w Chinach Sun-Jat-Sena, — jak znowu dowiadujemy się od p. Coty'ego — gdzie rewolucja antymandżurska cieszyła się, jak wiadomo, poparciem kapitałów amerykańskich, znalazł się niejaki Maurycy Cohen, który stowarzyszył się był z emigrantami chińskimi w Londynie, później zaś objął kierownictwo finansowe *„Kuomintangu"*. Oświadczał się on zawsze w łonie partji za współdziałaniem z bolszewikami i on to dostarczył Leninowi w roku 1918 oddziałów chińskich, z pośród których rekrutowały się pierwsze „Czeki". Dobrze zazwyczaj poinformowana *„Daily Mail"* nazywa Cohena wprost „tajnym dyktatorem Chin". „Tacy są to ci dyktatorowie sekretni" — konkluduje Coty, —„ wszyscy zaciągnięci do organizacyj syjonistycznych, wszyscy zależni od finansjery, rządzącej światem, a pracujący nad zjednoczeniem ludów w imię rewolucji socjalnej i poprzez zniesienie wolności indywidualnej, pod berłem dynastji, wznoszącej się w Izraelu".

V

Jakób Schiff umarł w październiku roku 1920. Pod kierunkiem syna jego, Mortimera (zmarłego w dziesięć lat później), działał dalej dom „Kuhn, Loeb i S-ka", jako „władza nadrzędna" nad rządem amerykańskim. Utrzymał on ścisły (jeszcze z czasów wielkiej wojny) związek swój z Sowietami i dostarczył im mianowicie, jak twierdzi Coty, projektu słynnej „piatiletki" oraz części środków materjalnych na jej wykonanie. „Dalej, przyczynił się (tenże dom) potężnie w kierunku podniesienia się Niemiec z pod uderzeń klęski..."

Kończy Coty wywody swoje następującą apostrofą: „Państwo rosyjskie istniało od stuleci: rozciągało się ono na 150 miljonów ludzi i na szóstą część powierzchni ziemskiej... A wtem wydał mu bank „Kuhn, Loeb i S-ka", w roku 1890, wojnę bez pardonu... W roku zaś 1917, po dwudziestu siedmiu latach wysiłków nieustannych, bank ten osiągnął w zupełności cel swój: państwo rosyjskie przestało egzystować, naród zaś rosyjski, wtrącony w niewolę na ziemi własnej, cierpi wszystko, co wycierpiały hordy starożytne, wleczone w jasyr ręką zdobywców babilońskich. Dlaczegóżby i Francji los miał w przyszłości przedstawiać się inaczej?".

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

MOMENTY NARODOWE W AUTOBIOGRAFJI TROCKIEGO

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI TROCKIEGO „MOJE ŻYCIE, PRÓBA AUTOBIOGRAFJI")

OPOWIADANIE o swojej działalności człowieka, który odegrał wielką rolę polityczną i nie wyrzekł się jej na przyszłość, należy zawsze traktować, jako źródło jednostronne, wówczas zwłaszcza, gdy autor sam mówi o swojej książce, że ma ona charakter polityczny. Nie dziwimy się zatem, że bolszewizm wygląda w książce Trockiego, jak łagodny lew z obciętemi pazurami. Niekiedy jest tej polityki aż nazbyt wiele i musimy sobie powiedzieć, że niedawny współwładca Sowieckiej Rosji liczy na naiwność czytelnika w stopniu nazbyt wysokim. Gdy np. opowiada, pełen oburzenia, o brutalności i braku liberalizmu ze strony policji i władz administracyjnych, z któremi ma zatargi podczas swego pobytu na Zachodzie Europy i w Ameryce, nie możemy nie mieć odrazu w oczach krwawych dziejów przeciwników politycznych Sowdepów w Rosji obecnej — i trudno nam zaiste mieć współczucie.

Politykę stosuje również Trocki tam, gdzie mówi o sprawach narodowych.

Do najciekawszych kart książki, pisanej przez Trockiego w trzecim roku wygnania, najważniejszych również niewątpliwie w myśli jej autora, należy jej część, traktująca sprawę nieporozumień pomiędzy nim a obecnymi władcami Rosji. Trocki z naciskiem tu podkreśla, że był bliższym towarzyszem pracy Lenina, ściślej z jego poglądami związanym, niż którykolwiek z obecnej dyktatorskiej trójcy. To jest motyw, wybijający się w książce na pierwszy plan. Jednocześnie w tej właśnie części spotykamy największe niedomówienia. Gdy autor wylicza przyczyny rozdźwięków ze Stalinem i pisze o „brutalnym biurokratyźmie politycznym (Stalina) w sprawie narodowościowej", radzi bylibyśmy wiedzieć o tych starciach na tle narodowem w „międzynarodowej" Sowdepji coś więcej, zwłaszcza, że o prądach antyżydowskich w związku ze zmianą jej kierownictwa słyszało i czytało się wzmianki niejednokrotnie. Niestety jednak, do wniknięcia w te prądy książka niewiele się przyczynia. Poza wyżej przytoczonem zdaniem nie znajdujemy

w niej śladu tych spraw. Czytelnik odnieść musi wrażenie, że mamy tu do czynienia z tuszowaniem momentów narodowych i świadomem pomniejszaniem przez autora ich roli.

Mówiąc o sobie, Trocki podkreśla parokrotnie, że sprawy narodowe nie wpływały w większym stopniu na kształtowanie się jego psychiki. Ale Trocki jednocześnie — ma talent. I dzięki temu zapewne rysuje się nam wyraźnie jego psychika, jako typowa psychika żydowska. Z książki, liczącej 662 stron, poznać można osobę kilkuletniego współdyktatora Rosji dość dokładnie.

Młody żydek z południowej Rosji, jeden z tych młodych rewolucjonistów, zapatrzonych tylko w rewolucję, nie odczuwający, podobnie jak większość żydów, piękna przyrody, nie odczuwający, jak sam pisze, i piękna sztuki, który jeszcze w wiele lat później źle czuć się będzie w Kremlu, w mieszkaniu, z powodu „czeczotowych mebli“ (niezmiernie charakterystyczne są te drobne szczegóły, które Trocki o sobie opowiada), dzięki temu może właśnie, że całe wielki dziedziny życia są mu obce, koncentruje całe swoje ja, całą swoją siłę woli, zdolności i pracowitość — trzy dodatnie cechy, tak często spotykane u żydów łącznie — na jednej jedynej rzeczy: na działalności rewolucyjnej.

Wojna europejska zastaje go, jak wiadomo, zagranicą, gdzie utrzymuje bliskie stosunki z zachodnio-europejskimi socjal-demokratami, których sylwetki kreśli w książce żywo i plastycznie. Gdy wybuch wojny zadaje kłam międzynarodowym uczuciom przedstawicieli rewolucyjnych partyj i z pod międzynarodowych haseł wydobywa się na wierzch poczucie solidarności z narodami, do których się zaliczają, Trockiemu, jak widać z opowiadania, nie przychodzi na myśl przypuszczenie, że bankrutuje tu jego zasada i że oparł się na fałszywych założeniach: wierzy we wszechświatową rewolucję i nadal. A człowiek tworzy w życiu to, w co silnie i bez zastrzeżeń wierzy...

Po raz trzeci stoimy w książce Trockiego wobec spraw narodowych przy opowiadaniu o wojnie polsko-bolszewickiej z 1920 roku. Sprawę bowiem pokoju Brzeskiego, której poświęca cały rozdział, nie przynoszący zresztą wielu rzeczy nowych, delegat sowiecki traktuje w opowiadaniu z punktu widzenia interesów światowej rewolucji. Nieco trudniej nam zgodzić się z tego rodzaju ustosunkowaniem się do wspomnianej wojny. Opisowi wojny poświęca autor kilka stron, przyczem — rzecz charakterystyczna — opis ten posiada pewne momenty, przypominający nam dawnego Iłłowajskiego. Trocki pisze jednak o kolosalnych rozmiarach katastrofy pod Warszawą. Do klęski sowieckiej przyczyniło się, jak powiada, zachowanie się Stalina, wbrew rozkazom naczelnego dowództwa, które żądało zmiany kierunku armji Stalina i uderzenia na skrzydło armji polskiej pod Warszawą, posuwającego się w dalszym ciągu na Lwów i pragnącego zdobyć go na własną rękę. O zajęciu Kijowa pisze, że wyrządziło ono Rosji wielką przysługę: dzięki niemu Rosja ocknęła się. W tem ocknięciu się czynnik narodowy odegrał niewątpliwie rolę. Jaką była ta rola? Właśnie kogoś, kto chce czynnik ten z życia wykreślić, powinnaby zastanowić ta kwestja. W książce niema jednak o tem mowy. Autor czynnik ten poprostu ignoruje. Wielokrotnie w toku jego opowiadania odnosi się wrażenie, że narodowość jest to jakaś rzecz nieomal przestarzała, która prawie że nie ma już w świecie znaczenia, którą stale, dzięki temu, pomija.

Jakiś mimowolny odruch, znajdujący swój wyraz pod piórem autora, zdradza niekiedy to, co ten autor sam przed sobą, może nieświadomie, zataja. W książce Trockiego, którą się czyta z wielkiem zainteresowaniem, napisanej z talentem, świadczącej o kulturze literackiej autora, raz jeden tylko zawodzi autora literacka poprawność. I dzieje się to wówczas właśnie, gdy mówi Trocki o narodowości. Narodowość przyprawia go o „torsje moralne“.

Ta narodowość, która — prawie że nie istnieje.

MARJA STECKA

ENCYKLOPEDYSTA Z XX WIEKU

Z POŚRÓD licznych laboratorjów intelektualnych jest bardzo godne zainteresowania to laboratorjum, które przed 30-tu przeszło laty założył w Paryżu Karol Maurras. Poznanie systemu tego pisarza, który jest jednym z najciekawszych umysłów naszego stulecia, ułatwione zostało ogromnie przez rozpoczęte niedawno wydawnictwo pod tytułem: „*Dictionnaire politique et critique*“, zawierające alfabetycznie ułożone, a zatytułowane podług tematu, którym się zajmują, wyjątki z artykułów Maurras'a, pisanych przez kilkadziesiąt lat, naprzód w „*Gazette de France*“, potem w „*Action Française*“.

Ten „*Dictionnaire*“ zapewne, w myśl życzenia Maurras'a, ma być jakgdyby nową „Encyklopedją“, rewizją „Encyklopedji“ Diderot'a i d'Alembert'a i reakcją przeciw niej. Posiadanie ogólnego poglądu politycznego, to znaczy poważnych politycznych zasad, uznaje Maurras za konieczny warunek dla każdego, kto chce się orjentować w polityce i ewentualnie w świecie politycznym działać; empiryzm od wypadku do wypadku i zebranie informacyj nie wystarczają, taka jest myśl przewodnia, która skłoniła Maurras'a do naśladowania metody encyklopedystów z wieku oświecenia, w celu zwalczania ich ideologji przez encyklopedję polityczną, dzieło rewizjonistyczne XX-go wieku.

Najlepiej zaznajamia ze sposobem ujmowania i oceniania zjawisk przez Maurras'a, jego pogląd na to, co obecnie w Polsce powinno wszystkich interesować, mianowicie na konstytucję. „Konstytucji się nie redaguje, ona się rodzi. To czas ją układa i przemienia“. Tak określa Maurras swoje zasadnicze stanowisko wobec problemu politycznej budowy społeczeństwa. Ta opinja jest opinją człowieka, który nie wierzy w rozum jednego pokolenia i potępia narzucanie abstrakcyjnych formuł, które mają być wyrazem rzekomego „ducha czasu“. Maurras odnosi się zupełnie negatywnie do licznych konstytucyj demokratycznych i socjalistycznych, wychodząc z założenia, które trzeba uznać za słuszne: „Wartość konstytucji polega na tem, jakiej rzeczywistości jest ona obrazem“. Oczywiście 13 konsty-

tucyj, które poznała Francja od r. 1789 (ściślej od 1791), i dziesiątki, jeżeli nie setki konstytucyj, które zaświeciły, jak fajerwerki na całym świecie w ciągu XIX wieku i w bieżącem stuleciu, skłoniły Maurras'a do zajęcia następującego stanowiska w sprawie budowania fundamentów państwowego życia politycznego: „My nie jesteśmy fabrykantami konstytucyj, my nie produkujemy konstytucji najlepiej przystosowanej do Francji współczesnej, lecz my tej konstytucji poszukujemy". Charles Maurras uznaje, że konstytucja powinna służyć społeczeństwu, a nie naginać go do siebie; konstytucja powinna odzwierciadlać jakościowy obraz społeczeństwa i jego interesy. Za rzecz ważniejszą od politycznego, zewnętrznego zorganizowania społeczeństwa, uważa Maurras zorganizowanie jego socjalne, na którego tle można dopiero malować polityczne oblicze zamkniętej w granicach państwa społeczności. To swoje zdanie wyraził Maurras, ze zwykłą sobie rzymską jasnością w następującej formule: „Nie jesteśmy konstytucjonalistami w dziedzinie politycznej, jesteśmy gorącymi konstytucjonalistami w dziedzinie społecznej". Konstytucje demokratyczne, które starają się odbić, jak w lustrze, opinje polityczne obywateli, uznanych za równowartościowe atomy, nie są to, według Maurras'a, prawdziwe konstytucje, konstytucje naprawdę przedstawicielskie, bo nie zwracają one uwagi na rzeczywistą konfigurację, jakościowość elementów, rozkład i natężenie sił i interesów w społeczeństwie: „Konstytucja przedstawicielska, to nie jest konstytucja parlamentarystyczna".

Poglądy swoje na konstytucję i na poszczególne formy konstytucjonalizmu, jak parlamentaryzm, opiera Maurras na pewnych założeniach filozoficznych, które są podstawą całego jego systemu. Filozofja Maurras'a, stanowiąca system samodzielny, opiera się na dociekaniach filozoficznych kilku wielkich myślicieli francuskich XIX wieku, których nazwiska Maurras często wskazuje. Są nimi: Józef de Maistre, de Bonald, Comte, Rénan, Fustel de Coulanges, Le Play i de la Tour du Pin. Najwięcej wpływu na poglądy ogólnofilozoficzne i metodę oceniania zjawisk Maurras'a, wywarł August Comte. Jeżeli, jak podaliśmy wyżej, Maurras przeciwstawia konstytucję przedstawicielską konstytucji parlamentarystycznej, to niewątpliwie dlatego, że nie pozostało u niego bez śladu spostrzeżenie Comte'a: „Parlamentaryzm jest to ustrój oparty na intrygach i korrupcji, w którym tyranja jest wszędzie, a opowiedzialność nigdzie". Augusta Comte'a uważa Maurras za odnowiciela państwa i ojczyzny, autorytetu i hierarchji, za filozofa, który głęboko wniknął w społeczne prawa przyrodzone i za krytyka dzisiejszej anarchji. Comte był agnostykiem i republikaninem; Maurras pozostał agnostykiem-pozytywistą, ale jest zwolennikiem monarchji. Wódz *„Action Française"*, która liczy wśród swych sympatyków tak światowej sławy pisarzy katolickich, jak Paul Bourget i Bernanos, uważa, że katolicyzm i pozytywizm są wobec siebie antypodami, gdyż nauka katolicka opiera się na katolickiem wyjaśnieniu kwestji Przyczyny Sprawczej i Celu Ostatecznego, zaś nauka pozytywistyczna nic o tej Przyczynie i tym Celu wiedzieć nie chce i nie zajmuje się niemi. Jednakże Maurras podkreśla, że „gdyby pozytywiści i katolicy zgromadzili się w tej samej sali głosowań, to ich głosy byłyby zgodne co do pewnej liczby podstawowych tez politycznych: co do zasadniczego ustroju społeczeństwa, co do ustawodawstwa rodzinnego, szkolnego, stosunku rzeczy duchownych do świeckich, stosunku Kościoła do Państwa, co do układu wzajemnego stosunków pomiędzy władzy najwyższą i wolnością społeczną". Porównywając Comte'a z Kantem, Maurras uwydatnia szereg momentów, decydujących o wyższości Comte'a: „Filozofja Comte'a jest klasyczna, śródziemnomorska, helleńska i rzymska, filozofja Kanta jest romantyczna i luterańska, jest ona formułą przymierza dwóch barbarzyństw: germańskiego i żydowskiego". Objektywnego, społecznego i intelektualnego Comte'a stawia Maurras na przeciwległym krańcu wobec subjektywnego i romantycznego Kanta.

Charles Maurras uważa Stolicę apostolską za najszanowniejszy i najwyższy autorytet w świecie. 15 stycznia 1914 roku, Papież Pius X udzielił swego błogosławieństwa Maurras'owi, 31 października 1915 roku, kardynał Andrieux napisał do Maurras'a: „Pan broni Kościoła z równą odwagą, jak talentem". Rzecz prosta comtowski agnostycyzm Maurras'a nie mógł nie wywołać potępienia ze strony Kościoła, kierującego się ustalonemi dogmatami wiary. Katolicyzm należy, według Maurras'a, przyjmować tak, jak on sam chce być pojmowany, a nie przystosowywać go do pewnego programu politycznego. Maurras, jako zwolennik dyscypliny społecznej i tradycjonalizmu, widzi, że ochrona religijności społeczeństwa jest prawem nabytem zarówno obywateli, jak instytucyj duchownych, jest obowiązkiem państwa i jest z punktu widzenia państwowo-narodowego najdoskonalszym środkiem zwalczania *„des facteurs de l'anarchie"*. W praktyce ten pogląd na polityczną rolę religijności Kościoła w państwie urzeczywistniał Napoleon I, którego Konkordat opierał się na tej przesłance, że katolicyzm jest wyznaniem większości Francuzów; w praktyce również urzeczywistniają taki pogląd faszyści, uznając (rzecz pojmują głębiej od Napoleona), że katolicyzm jest nieodzownym składnikiem indywidualności narodowo-państwowej i w myśl tego przekonania zawarł Mussolini słynny traktat lateraneński, postępując w ten sposób całkiem zgodnie z doktryną polityczną Maurras'a. Z całą stanowczością przeciwstawia się autor *„Anthinéa"* dzisiejszemu ustawodawstwu antyreligijnemu we Francji i domaga się nietylko wszystkich praw, ale i przywilejów dla katolicyzmu. „Uprzywilejowanie katolicyzmu jest kwestją sprawiedliwości w kraju, zrodzonym i wychowanym w katolicyzmie". Zbudowanie związku państw, tak zw. Ligi Narodów, bez udziału Stolicy Apostolskiej, uznaje Maurras za nie dającą się usprawiedliwić wadę konstrukcji wilsonowskiej i negatywny stosunek *„Action Française"* do Ligi Narodów wynika między innemi z tej właśnie przyczyny.

Autorytatyzm monarchistów francuskich nie jest wcale, w dziedzinie konstytucyjnej i gospodarczej, żadnym etatyzmem. Zdanie swoje o autorytecie znakomicie streścił Maurras w następujących słowach: „Nie każda wolność jest odpowiednia dla danego państwa; każde państwo zależy od swoich precedensów historycznych i od swego ukształtowania geograficznego, jak każdy człowiek zależy od swoich przodków i od swojego kraju... Wolność zmienia się, zależnie od miejsca i od czasu, ale niema państwa, które mogłoby trwać bez posiadania suwerennego autorytetu". Na podstawie takich socjologicznych i historjozoficznych rozważań, doszedł Maurras do przekonania, że: „Najmądrzejsze me-

chanizmy konstytucyjne nie mogą zastąpić autorytetu urodzonego“ *(autorité née).* To jest konkluzja monarchiczna, która nasuwała się już Comte'owi, stwierdzającemu, że ostatecznym ratunkiem dla programu zachowania własności, może być monarchja legitymistyczna; Maurras tę konkluzję uwypuklił jeszcze bardziej, kończąc swoją analizę autorytetu: „Potrzebny jest wyraz materjalny, odzienie fizyczne dla rzeczy moralnych. To, co jest wewnętrzne, powinno być z naciskiem uwydatnione ludziom; to, co jest ważne, powinno im być pokazane i dowiedzione z powagą. O ile znaki niewidoczne i pusta forma są marnemi łupinami, o tyle należy się sile, potędze i prawdzie, aby posługiwały się i były wyrażane przez godną siebie stronę zewnętrzną“.

Naturalnymi sprzymierzeńcami rozumnego autorytetu są konserwatyści, ale nie obdarza ich bynajmniej pochwałami autor wyżej przedstawionych myśli o autorytecie. „Klasy konserwatywne, które jednak pozwalają wszystko niszczyć, klasy nieobywatelskie, niepolityczne, wydające się czasami obcemi w państwie, klasy, które ścierpią zgubę ojczyzny, i które, będąc złożone z ludzi inteligentnych, przedstawiają obraz olbrzymiego i ponurego bezwładu, jednakże są to klasy, które w braku czegoś lepszego, pozostają najlepszą i najpewniejszą rezerwą kraju, rezerwą najwytrwalszą i ostatnią jego nadzieją“. Jak widzimy, nikt gorliwiej i wyraźniej nie zwalcza ospałości i samozadowolenia warstw zachowawczych, nikt nie stara się ich z takim zapałem naprawiać, jak przywódca „reakcji“ i „skrajnej prawicy“. Z największą surowością potępiony został przez niego oportunizm, „polityka najmniejszego zła“, a także „polityka im gorzej, tem lepiej“. Konieczność p o s i a d a n i a inicjatywy, upokarzający charakter narzekania na zło i znoszenia go, udowodniane są przez szefa *„Action Française“* bez żadnych osłonek. „Władzę się bierze, zuchwałość odpiera się śmiałością“ — takie rady otrzymują zachowawcy od pisarza, który zastanawiał się: *„Si le coup de force est possible“*. Te uwagi o warstwach zachowawczych można do nich skierować w każdym kraju.

Antydemokratyzm Maurras'a wynika, jak tyle innych jego poglądów, z nauki Comte'a. Rządy konstruowane w ten sposób, że niżsi wybierają wyższych, uważa Comte, a za nim Maurras, za absurd. Maurras'a, jako tradycjonalistę, decentralistę, zwolennika szerokiej autonomji prowincjonalnej, uderzyła szczególniej fałszywość tej koncepcji demokratycznej, która uznaje obywateli za zdolnych do rozstrzygania najważniejszych, zasadniczych spraw całego państwa, a zato za niezdolnych do decydowania o sprawach dla nich najbliższych, regjonalnych. Punkt widzenia genetyczny i poszukiwanie wszędzie harmonji, uczyniły Maurras'a stanowczym przeciwnikiem demokracji, której, według niego, nie wolno przemycać pod żadną postacią. Demokracja, czyli kult liczby, dezorganizacja, ustrój tylko spożywający, demokracja, czyli niwelacja, demokracja, czyli abstrakcyjny, matematyczny pogląd na świat i na ludzi, — demokracja jest kategorycznie potępiana przez wybitnego pisarza francuskiego, który jednakże jest demofilem i nie jest bynajmniej sympatykiem Nietzsche'go. Przedewszystkiem, według Maurras'a, demokracja nigdy nie da się zrealizować i np. dzisiaj, w tak zwanej wielkiej demokracji francuskiej, rządzą, według niego, mniejszości rasowe, wyznaniowe i ideologiczne. „Obrońcy demokracji, ci, którzy mają jeszcze trochę rozsądku i inteligencji, są czystymi mistykami, ich opinja opiera się wyłącznie na mieszaninie marzenia i skłonności zupełnie subjektywnych“. Taki sąd wydaje mistrz tysięcy dzisiejszej francuskiej młodzieży akademickiej o dawnych bogach, tak oceniani są przezeń: Michelet, Hugo, Déroulède i Poincaré, nie mówiąc już o G a m b e c i e, czy Briandzie.

Dzieła Charles Maurras'a nie są bynajmniej zbiorem apodyktycznych twierdzeń lub oderwanych rozumowań; kierując się kilkoma zasadniczemi ideałami, które wskazaliśmy wyżej, Maurras niezwykle przenikliwie ocenia zjawiska i np. jego historjozofja, zbliżająca go do Taine'a i Rénana, zgodna jest z poglądami, zawartemi w najnowszych pracach wybitnych i niezależnych uczonych francuskich (Madelin, Gaxotte, Funk-Brentano).

Styl Maurras'a uważają niektórzy jego czytelnicy za dość ciężki; umyślnie przytaczaliśmy jego zdania dosłownie, dlatego właśnie, że według nas, trudno jaśniej sprawy polityczne omówić i formułować niż to czyni autor *„Le Dictionnaire politique“*. Zdanie swoje wyraża Maurras tak przejrzyście, że jest to naprawdę stylista pierwszej klasy, godny spadkobierca... Voltaire'a, oszałamiającego paradoksu de Maistre'a i wszystko z chłodem rozcinającej logiki Taine'a.

SK. A.

NIEDOSTATECZNOŚĆ POZYTYWIZMU

PAN JAN MOSDORF zaintrygował niedawno czytelników prac filozoficznych postawieniem pytania: „Czy Comte był pozytywistą?“ [1]). Augusta Comte'a (1798–1857) uważa się przecież powszechnie za twórcę pozytywizmu, za czołowego przedstawiciela tego kierunku! Wiadomo wprawdzie, że jego działalność pisarska rozpada się na dwa okresy, które traktuje się jako biegunowo różne: okres „Kursu filozofji pozytywnej“, zakończony pracą p. t. *„Discours sur l'esprit positif“* (1848) i drugi, charakteryzujący się dążeniem do „Syntezy Subjektywnej“ (1856); ale tylko ten pierwszy brało się dotąd pod uwagę przy ocenie stanowiska filozofa. Drugi okres bywa nazywany poprostu „okresem dziwactw“ [2]), trzeźwy pozytywista okresu pierwszego występuje tu bowiem jako reformator ludzkości, twórca nowej religji i jej „arcykapłan“. Zwolennicy pozytywizmu (E. Littré, J. St. Mill) mówili ze smutkiem o załamaniu się, o zaćmieniu potężnego umysłu; przeciwnicy usiłowali wykazać, że zarodki obłędu tkwiły już raczej w tezach okresu pierwszego. Nikt jednak nie próbował kwestjonować tego, że Comte był pozyty-

[1]) „Przegl. Filozof.“, r. XXXV, Księga Pamiątk. Koła Filoz. S. U. W., W-wa 1932, Odbitka. Stron 22.

[2]) T. Kotarbiński. Pozytywizm („Enc. Wychow.“, t. IX, z. 10), Lwów-Warsz., 1923, str. 4.

wistą, że on właśnie przed innymi ten prąd reprezentuje.

Poddając rewizji te obiegowe poglądy, można zapytać:

1⁰. Czy w okresie drugim pisarskiej działalności Comte'a nie było istotnie nic wartościowego, poza bijącemi w oczy dziwactwami?

2⁰. Czy ten okres nie jest konsekwentnym dalszym ciągiem pierwszego?

3⁰. A jeżeli tak, to czy ta historja myśliciela nie świadczy o istnieniu w naturze ludzkiej jakichś potrzeb, których pozytywizm nigdy nie zdoła zaspokoić?

Odpowiedź na drugie z powyższych pytań możemy uważać, zdaniem p. Mosdorfa, za ustaloną w sensie twierdzącym, dzięki pracy F. Ravaisson-Mollien'a (1867) i późniejszym o lat kilkadziesiąt pracom G. Belot'a, G. Milhaud'a, E. Boutroux, wreszcie najnowszej (1932), profesora J. Delvolve[3]); wobec tego nasz autor przyjmuje, jako założenie swej rozprawy, jednolitość myśli Comte'a w obu okresach—sądzi nawet, że „dzieło Comte'a z ostatniego okresu życia" należy uznać „za ostateczny i najdojrzalszy wyraz jego poglądów" (str. 5).

Pozytywizm w filozofji jest równoznaczny z anty-metafizycznością; pozytywista wyrzec się musi naczelnego zagadnienia metafizyki, zagadnienia bytu. Ograniczając swe badania do zakresu, w którym one są możliwe w sensie ściśle naukowym, zajmuje się tylko teorją wiedzy, a głównie zestawieniem i oceną wyników nauk poszczególnych. Skrajny pozytywista, skłonny jest uznać za przedmiot nauki tylko doświadczenie zewnętrzne, co prowadzi do wyrzeczenia się także gnoseologji (teorji poznania) i psychologji; ale nawet obszerniejszy program filozofji pozytywnej, obejmujący psychologję (zwłaszcza psychologję poznawania), metodologję, gnoseologję i filozofję nauk poszczególnych, jest programem minimalistycznym. Maksymalistą w filozofji jest ten, kto—wzorem twórców wielkich systematów — buduje pogląd na świat, na sens i cel życia. Z poglądem na świat wiąże się w naturalny sposób pragnienie takiego ukształtowania życia, aby była osiągnięta harmonja pomiędzy teorją a praktyką; stąd naturalny związek metafizyki z etyką, stąd tak częste u metafizyków dążenia reformatorskie.

Czy Comte był metafizykiem? Pytanie to brzmi jeszcze dziwniej, niż pytanie, postawione przez p. Mosdorfa. Gdyby się jednak miało okazać, że tem, co Comte'a zawsze najbardziej zajmowało, było zagadnienie bytu, rzeczywistości, a dalej, że pragnął on w ten sposób zdobyć podstawę dla działania ludzkiego, w myśl hasła: wiedzieć — przewidywać — czynić, to jego ewolucja od pozytywizmu do metafizyki musiałaby się wydać czemś naturalnem, nawet nieuniknionem. Zdaniem J. Delvolve, Comte dążył do jednolitej syntezy myślenia teoretycznego i praktycznego zachowania się człowieka. Zrazu, niewątpliwie, próbował metafizykę usunąć; wydawało mu się bowiem, że nie zdobędzie inaczej wiedzy pewnej i ścisłej. Ale przekonał się z czasem, że usunąć metafizykę, to znaczy wyrzec się możności zbudowania harmonijnego poglądu na rolę człowieka w świecie, na cel istnienia jednostek i ludzkości— a taką wiedzę przedewszystkiem uważał za pożyteczną, bo prowadzącą do polepszenia sytuacji jednostki i zbiorowości. Dlatego też widzimy, że stopniowo wprowadza do systematu pierwiastki metafizyczne i że rola ich z biegiem czasu staje się coraz większa.

Pierwiastki metafizyczne tkwią już w gnoseologji Comte'a. Kto interpretuje zewnętrzne doświadczenie bezpośrednie (t. zw. postrzeżenia, z których na drodze analizy otrzymujemy czucia, czyli wrażenia zmysłowe) w ten sposób, że mamy w nich (przez nie) dane rzeczy tak, jak one istnieją same w sobie — a to właśnie robi Comte — ten wychodzi poza stanowisko pozytywizmu[4]). Wychodzi, oczywiście, poza granice „pozytywnego myślenia" ten, kto buduje na świadomości siebie samego, jako bytu, poznawanego bezpośrednio w doświadczeniu wewnętrznem; pozytywista ogranicza się do danych doświadczenia objektywnego, zewnętrznego, których nie ma prawa interpretować ontologicznie — a to samo zastrzeżenie musiałoby się stosować także w wypadku bardziej umiarkowanej formy pozytywizmu, uznającej naukową wartość także wewnętrznego doświadczenia. Tymczasem dla Comte'a intuicyjne poznanie własnej jaźni staje się punktem wyjścia całej koncepcji świata, mającej charakter organiczny i celowy.

To, co Comte nazywa *„la morale"*, jest właściwie syntetycznym poglądem na człowieka, jego zadania i obowiązki; jest zarazem metafizyką i etyką, a więc systematem filozoficznym. Siódmy, najwyższy stopień w hierarchji nauk, to właśnie filozofja w znaczeniu ściślejszem tego terminu; oto jest, według Comte'a, korona umiejętności ludzkich.

Jest zatem rzeczą pewną, że August Comte usiłował odgadnąć zagadkę bytu, jak usiłował przed nim Platon, Leibnitz, Schopenhauer i tylu innych metafizyków. Czy ta próba udała się lepiej, niż inne? Otóż uznanie tej, czy innej wizji świata za „najlepszą i najprostszą hypotezę", tłumaczącą nam naszą pozycję w świecie, zależy całkowicie od cech naszej osobowości, od całokształtu naszych pragnień i dążeń. Wizje świata, tworzone przez metafizyków, są to istotnie „syntezy subjektywne"; niema i być nie może powszechnie obowiązujących kryterjów ich oceny i wyboru.

Jednak bez względu na to, czy na pierwsze z postawionych wyżej pytań odpowiemy twierdząco, czy przecząco, z dziejów myśli „ojca pozytywizmu" płynie ważna i ciekawa nauka. Zawiera się w niej odpowiedź na pytanie trzecie: istotnie, pozytywizm nie wystarcza pełnemu człowiekowi. Nie wystarcza mu sama nauka, sama objektywna wiedza. Aby działać skutecznie i iść naprzód, aby nie dać się złamać nieszczęściu, aby czemś być — człowiek musi w coś wierzyć.

INQUIRER

[3]) *„Réflexions sur la pensée comtienne"*, Paryż, Alcan, 1932.

[4]) W tem miejscu trudno się zgodzić z p. Mosdorfem, który utrzymuje, że pozytywizm stoi zawsze na stanowisku realizmu bezpośredniego (naiwnego) (str. 7). Pozytywistą jest E. Mach, ponieważ używając do opisu świata elementów doświadczenia bezpośredniego, wogóle nie interpretuje ich w sensie ontologicznym. Natomiast nie można uznać za pozytywistyczne stanowiska Comte'a, jeżeli „idee" uważa za wierne „obrazy bytów" (a jest to jeszcze jeden argument na korzyść tezy p. Mosdorfa); tembardziej nie są pozytywistami np. warszawscy profesorowie logiki, grawitujący ku metafizyce materjalizmu.

NA WIDOWNI

Opinja Ojca Świętego o siłach podziemnych. — Mitologja grecka a dzisiejsza wiedza. — Kwiat jabłoni i jego wrogowie. — Jak to było 15 lat temu? — Dwa obozy i alternatywa: albo — albo.

AGENCJA KATOLICKA w komunikacie z dnia 27 lutego podała bardzo interesujące (choć znane już dobrze publicystom obozu narodowego) wiadomości o masonerji działającej w Polsce. Agencja poprzedza je taką uwagą:

„Ojciec św. Pius XI, przyjmując w roku 1929 pielgrzymkę polską, zwrócił się do jej uczestników z przemówieniem, w którem wezwał ich do walki z masonerją, nazywając ją „siłami piekielnemi“ i zalecił gorące modły do Boga o pomoc w tej walce, bo „przeciwko temu nieprzyjacielowi siły ludzkie nie starczą“. Ojciec św. słusznie z taką troską zwrócił uwagę opinji katolickiej polskiej na raka, jakim jest wolnomularstwo, gdyż niestety zdołało ono zapuścić na ziemiach odrodzonej Polski swe korzenie, których wpływ daje się odczuwać w rozlicznych dziedzinach życia.

„W tej akcji — z natury utrudnionej, bo masonerja strzeże zazdrośnie tajników swych poczynań — każda cegiełka, każdy szczegół ma swą wartość, pozwala mniej lub więcej skutecznie zorjentować się, z której strony i jakie grozi niebezpieczeństwo. Masoni, dążąc w swych ukrytych celach do opanowania władzy i uzyskania jaknajwiększego wpływu na życie publiczne, starają się nie tylko wciągnąć w swe szeregi jednostki, które z uwagi na swe osobiste walory mogą być użyte jako narzędzie do ziszczenia celów masońskich, ale starają się również obsadzić swymi ludźmi wszystkie te posterunki, które dają im możność wpływania w decydujący sposób na sprawy publiczne, a przynajmniej wywierania nad niemi kontroli“.

Panuje pod tym względem zupełna zgodność między opinją Kościoła i opinją publicystyki narodowej. Życie narodu jest postacią jednego z największych ustanowień, dotyczących bytu świata organicznego. Cywilizacje narodowe, oparte na fakcie ciągłości życia i budowane na zasadach danego ludziom pragnienia wieczności, są najwyższym tworem człowieka, realizującego tu na ziemi religijne ideały.

Temu budownictwu prrzeciwstawia się, odkąd świat, duch kombinatorstwa, usiłującego wyzwolić jednostkę z pod rządu praw boskich. W czasach nowożytnych akcja ta przybrała postać walki z ideą narodu, który jakoby więzi jednostkę i przeszkadza jej być panem świata. Walka masonerji z porządkiem świata jest dziś w tej mierze antyreligijna, w jakiej jest antynacjonalistyczna, dlatego celem jej jest „uzyskanie jaknajwiększego wpływu na życie publiczne“.

Na polu życia publicznego ścierają się dwie siły zasadniczo sprzeczne: obóz wyznawców wiary w naród i obóz masonerji. Wszystkie inne siły ciążą do tych dwu biegunów. Niestety, wiele jeszcze brak do tego, aby wszyscy zdawali sobie z tego sprawę! Piekielną radość wywołują nieporozumienia, pozwalające czynić w walce takie dywersje:

„Nie sposób mieć jednocześnie monopolu na katolicyzm i monopolu na nacjonalizm. Są to bowiem doktryny wprost sprzeczne i wzajem się wykluczające. Jeżeli się próbuje czynić z katolicyzmu podstawę życia publicznego (a nie sprawę przekonań jednostki), wówczas nie można być nacjonalistą.“ („Gazeta Polska“ z 26 lutego r. b.)

W popularnej „Mitologji“ Jana Parandowskiego[1]) (Lwów 1927) czytam o tajemniczym Hadesie, który „miał czarodziejską czapkę z psiej skóry, a ta czyniła go niewidzialnym. Wiedział, że jego widok nie może być miłym ani ludziom, ani bogom“. Myślał o nim „Grek każdy w trwodze i milczeniu. Starano się nie wymieniać jego imienia. Oddawano mu hołdy pokryjomu, po jaskiniach i moczarach, w których pachniało siarką“ (s. 107).

Tak sobie Grecy wyobrażali „siły piekielne“. Ale nigdy inaczej wyobraźnia ludzka nie przedstawi zła, grożącego życiu moralnemu, jeno w postaci sił ciemnych, ukrytych w podziemiu lub wypełzających na powierzchnię gadów. Zawsze przeciwstawiać je będzie twórczości jasnej, dźwigającej świat w podniebie. Helios i Hades.

— — — — — — — — — — — —

Na świecie, jak widzimy, mierzą się w walce te dwie siły: narodowa i międzynarodowa, mająca oparcie w organizacji żydowskiej (masonerji). Pierwszy z tych prądów przybiera postać faszyzmu czy hitleryzmu. W Polsce zaś ruch ten jest jaknajmniej nowatorski, nie ma w sobie momentów rewolucyjnych w znaczeniu społecznem. Polska poprostu dąży do odrodzenia, mianowicie do tego, aby naród wypełnił treścią swej indywidualności odzyskane ramy państwa niezależnego. Naród polski zaskoczony był rozbiorami w czasach, kiedy ta jego indywidualność nie osiągnęła pełni, potem chorzał w swem życiu okaleczonem, ale duchem był przytomny i dojrzewał do zadań życia nowoczesnego. Po odzyskaniu niepodległości wyprostowuje się do swego pionu, a świadomość jego, zwłaszcza w młodej generacji, odpręża siły do niezmiernych zadań, które przed sobą widzi. Polska zakwitła na młodzieży swojej, jak jabłoń w porze wiosny, a wraz z tem w całem społeczeństwie wzmogło się samopoczucie bytu historycznego. Sprawiają to nadzieje, związane z kwieciem, które zapowiada owoce. Jedyna to zresztą, niczem nie dająca się zastąpić, rękojmia dla państwa, że się ostoi wśród przeciwności: pierwszem jego zadaniem jest robić wszystko, aby siły duchowe narodu wypełniły bogatą treścią państwową budowę Rzplitej.

Ale wiosna w Polsce bywa niebezpieczna dla kwiatu. Mroźny wiatr usiłuje zniweczyć nadzieje nasze. Niebezpieczeństwo dla plonów jest wielkie.

Pociesza mnie zasada, której mnie uczył pewien hodowca. Którejś mroźnej wiosny pytałem przyjaciela ze wsi, czy się nie obawia o zasiewy, a dzielny rolnik odpowiedział:

— Nic mi po zbożu, które nie wytrzyma głupich przymrozków. Niech się boryka. To, które przezwycięży, będzie dopiero polskiem zbożem.

— — — — — — — — — — — —

Były w Polsce kolizje bardziej groźne. Już nie o plon w sadach chodziło, lecz o to, czy wogóle będziemy mieli sad jakikolwiek. Przed piętnastu laty np. spotkali się w Sztokholmie dwaj Polacy — jeden wysłannik Beselera, drugi Kiereńskiego — i porozumiewali się, w tajemnicy przed ludźmi z Komitetu Narodowego, w jaki sposób Rosję odciągnąć od koalicji tak, aby Niemcy zawarły z nią pokój separatywny, dzieląc się Polską przy zachowaniu granic z r. 1914.

Polsce udało się uniknąć tej pułapki dzięki wysiłkom żywiołu narodowego, który zdołał otoczyć Komitet Narodowy powagą, przysługującą wyrazicielowi woli narodu. Obóz, przeciwny charakterowi narodowemu polityki polskiej, korzysta te-

[1]) Wydał teraz piękną książkę „Dysk Olimpijski“.

raz w całej pełni z niepodległości państwowej, przez tę politykę wywalczonej, ale na to, aby walczyć dalej z tą polityką. Obchodzimy właśnie jubileusz ich zabiegów, czynionych w czasie wojny, aby działanie Komitetu Narodowego udaremnić. Popełniali fałszerstwo, głosząc przed światem, że Rada Stanu, przez Beselera utworzona, jest jedyną wyrazicielką woli narodu polskiego. Brano też od niej mandaty, aby zagranicą — nawet w krajach walczących z Niemcami (Rosji, Anglji), tę opinję utrwalać.

P. August Zaleski, dzisiaj kapitalista, w r. 1917 redagował w Londynie czasopismo *„Polish Review“*, w którem pisywał w ten sposób:

„Kto dał p. Dmowskiemu dyplomatyczną misję? Nie Rada Stanu, gdyż żaden z jej członków nie zechciałby dotknąć go obcasami swych butów“.

Wspominam o tem dlatego, że teraz, kiedy Hitler doszedł w Niemczech do władzy, p. Zaleski wygłosił w Warszawie odczyt (drukowany w krakowskim „Czasie“), w którym wyznał, że wszystko, co w czasie wojny Niemcy robili w sprawie polskiej, było oszustwem. On o tem wiedział już wówczas, nie mniej w błąd wprowadzał opinję i polską i obcą. Niemiecki mąż stanu Stresemann w pamiętniku swoim pisze: „Już w r. 1918 Zaleski był u Lloyd George'a i prosił go, aby nie tworzono Polski zbyt wielkiej“ (III, 247).

A pod r. 1927 (cytuję z „Kur. Poznańskiego“ nr. 83):

„W sprawie ewentualnego zwrotu Gdańska i korytarza ustalone są przeto następujące poszlaki:

1) Zaleski u Lloyda George'a o niemożliwości, aby Polska dała sobie radę z Gdańskiem.

2) Oświadczenie Zaleskiego z okazji sesji Rady Ligi Narodów o Kłajpedzie“ (zamiast Gdańska). (III, 246)

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jak widzimy, różnice między dwoma obozami, o których wyżej mówiłem, są zasadnicze nie tylko objektywne, ale i w motywach moralnych — i to nie tylko w polityce wewnętrznej, ale i zagranicznej. Są to obozy, stojące sobie na drodze w osiąganiu sprzecznych celów. Bo to wielka różnica, czy Polska ma wogóle być czy nie być, a skoro jest—to czy ma być mała czy wielka, lub czy ma być państwem narodowem czy też wewnętrznie w woli swojej sparaliżowanem sprzecznościami narodowościowemi, a nawet—jak teraz sprawa stoi—ulegać mniejszości.

W ciągu owych 15 lat nastąpił w położeniu Polski wielki przewrót, a przecież w stosunku między rzeczonemi obozami nic się nie zmieniło — zawsze kamieniem obrazy jest pierwiastek narodowy. Pan Wojciech Rostworowski, który w r. 1917 był dyrektorem departamentu spraw zagranicznych przy Beselerze i zabiegał o układy Niemiec z Rosją, dziś jest w polskim parlamencie, ale i tu znalazł pole zwalczania aspiracyj narodowych na polu życia wewnętrznego. Warto przeczytać w stenogramach, z jakim zachwytem referował i zalecał projekt ustawy o szkołach akademickich, w którym — jak przyznał sam projektodawca — chodzi tylko o unicestwienie wpływów młodzieży narodowej. Otrząsnąć kwiat z jabłoni — oto program. Pan August Zaleski nie zginął. Jest dyrektorem Banku Handlowego, pozostającego w ścisłej zależności od „Włocha“ Toeplitza z Medjolańskiego *Banca Commerciale*.

Nie się nie zmieniło w układzie sił, jeno przeciwieństwa zyskały na wyrazistości, musiało bowiem wyjść na jaw, z czego przed 15 laty ogół nie zdawał sobie sprawy, że na terenie Polski myśl polityczna stanęła przed alternatywą. Są dwie idee do wyboru: polska albo żydowska.

Dlatego z otuchą prasa polska przytacza za Agencją Katolicką opinję Ojca Świętego w tej sprawie. Zło istotnie „zdołało zapuścić na ziemiach odrodzonej Polski korzenie w rozlicznych dziedzinach życia“. A w tej walce ze złem „każda cegiełka, każdy szczegół ma swą wartość, pozwala bowiem skutecznie zorjentować się, z której strony i jakie grozi niebezpieczeństwo“.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

NIE ZOSTAŁA DOTĄD NALEŻYCIE UWYDATNIONA cała paradoksalność sytuacji, do jakiej zmierza wprowadzenie ustawy o zniesieniu autonomji akademickiej. Zbyt łatwo przemilcza się samą dziwaczność tej idei, że młode pokolenie ma być ujęte w ścisłą zależność od starszego, w duchu systemu „wychowania państwowego“. Należy zdać sobie sprawę, że w dzisiejszej Polsce wogóle nie może być mowy o „wychowywaniu“ młodszej generacji przez starszą, dzisiaj czynną na widowni politycznej. Chodzi raczej o to, żeby wreszcie młodzi zaczęli wychowywać starszych. Cała Polska z upragnieniem czeka chwili, kiedy wreszcie na miejsce pokoleń, wychowanych w niewoli, wejdą nowe, nie obarczone spadkiem politycznym tego najsmutniejszego okresu. Nikt nie kwestjonuje, że na serjo poprawić się mogą stosunki w życiu publicznem dopiero od wejścia w to życie szeroką ławą przedstawicieli pokolenia młodego... Oczekuje się, że to pokolenie dopiero wniesie nowy sposób myślenia, nowego ducha — coś własnego, co stosunki uzdrowi. Forsowana w izbach ustawodawczych ustawa zmierza właśnie do tego, aby w możliwie największej mierze poddać młodzież wpływom starszego pokolenia „sanacji“, i możliwie pozbawić ją zdolności wniesienia do publicznego życia własnego wkładu idej i przekonań. Ten brak logiki wyraźny jest nawet w oświadczeniach polityków sanacyjnych.

I oni przyznają, że nadzieja lepszej przyszłości urzeczywistnić się może dopiero wtedy, gdy starszych zastąpi pokolenie, dorosłe lub zmężniałe umysłowo w Polsce wolnej. Lecz przez ślepy odruch samozachowawczy starają się jaknajdłużej utrwalić wpływy pokoleń, wychowanych w Polsce niewolnej. Paradoks zniknąłby, gdyby ustawa została wycofana, a twórcy projektu zaczęli uczęszczać na kursy wychowania państwowego, prowadzone przez akademicką młodzież. Sytuacja byłaby normalniejsza, i o wiele więcej odpowiadająca potrzebom Polski dzisiejszej. Byłoby to naprawdę państwowe.

JAK BYŁO Z UNIWERSYTETEM WILEŃSKIM? „Dziennik Wileński“ (nr. 64) podaje streszczenie rozprawy ks. prof. Br. Żongołłowicza, obecnego wiceministra Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego, na temat obrony autonomji i ustroju Uniw. Wileńskiego w latach 1792—1802. Rozprawę tę ogłosił ks. Żongołłowicz w „Roczniku Prawniczym Wileń.“ w r. 1925, str. 194—232.

Katarzyna II, natychmiast po trzecim rozbiorze zwróciła baczną uwagę na Uniwersytet Wileński. Już w pierwszym ukazie (30. X. 1794 roku) o urządzeniu zabranego kraju caryca stwierdza, że „Akademja Wileńska i szkoły pijarskie zaraziły litewską młodzież szaleńczemi wpływami, przeciwnemi Bogu i zgubnemi dla całego rodzaju ludzkiego; należy więc z najgłębszą przenikliwością zbadać te szkodliwe szkoły i płynące z nich zło wykryć w samych jego źródłach i wykorzenić, do czego użyć należy wszelkich starań i sposobów". Katarzyna nakazuje dalej przeprowadzić ścisły wgląd w życie Uniw., w jego porządek wewnętrzny i ustrój. Upoważnienie do przeprowadzenia przewidzianej i zaleconej reformy otrzymuje Repnin.

Opracowywanie projektu refermy zajęło Repninowi dwa lata. Wzorów szukał on w organizacji oświaty w Rosji, opartej na ukazie carycy z dn. 22. III. 1764 r., nakazującym „wytworzyć n o w y g a t u n e k l u d z i"

Z ustroju Uniwersytetu Moskiewskiego zastosował Repnin do Wszechnicy wileńskiej całkowite jej poddanie pozauniwersyteckiej władzy rządowej. W 1796 r. złożył Repnin do zatwierdzenia carskiego projekt reformy uniwersytetu, oparty na poddaniu zarządu uniwersytetu zwierzchniej władzy generał-gubernatora. Projekt Repnina, z powodu śmierci Katarzyny II, został częściowo zatwierdzony przez Pawła I, osobnym ukazem z dn. 6. II. 1797 r. Dotychczasowy ustrój samorządowy Wszechnicy Wil. został doszczętnie zburzony. Dotychczasowy ustrój uniwersytetów (Szkół Głównych), zgodnie z ustawami Komisji Eduk. Nar., oparty był o szeroko pomyślany samorząd.

Nowe „urządzenie Uniw. złamało dawną jego prawną budowę. Trzeba było znaleźć jeszcze twórców i wykonawców nowych porządków. Repnin nie mógł powołać do sprawowania urzędów krajowców, „przez Sejm rewolucyjny użytych do wprowadzenia formy rządu, opartej na Konstytucji 3 maja". Wielkorządca nie posiadał też odpowiednich urzędników rosyjskich, gdyż nie miała ich wtedy Rosja. Pozostawał jednak do rozporządzenia znaczny zastęp krajowców „sprawie rosyjskiej oddanych". Wszechnicy Wileńskiej groziła całkowita dezorganizacja wewnętrzna. Ówczesne władze uniwer. nie posiadały formalnej podstawy prawnej do obrony wszechnicy; postanowiły więc w obronie wolności nauki i samorządu uniwersyteckiego zastosować bierny opór. Na czele niebezpiecznej akcji oporu stanęli rektor Poczobut i wysłużony profesor Stroynowski. Do walki obronnej byli oni predestynowani. Rektor Poczobut w Ustawach Komisji Edukacji Narodowej widział przykazania święte, w autonomicznym ustroju uniwersytetów upatrywał „hierarchję albo królestwo nauki prawie boskiego ustanowienia". Prof. Stroynowski w świetnej analizie prawniczej Ustawy 3 maja widział „przyrodzone prawidła rządu i prawodawstwa", a w silnej i pięknej mowie, którą Korzon zalicza do najprzedniejszych wzorów polskiego krasomówstwa, polecił Wszechnicy Wileńskiej przechowywać wiernie świętość i wielkość dzieła. Prawo przemocy było w rękach komisji Repninowskiej. Uniwersytet wybrał jedyną dostępną, choć nader niebezpieczną formę obrony — bierny opór.

Komisja zaskarżyła Uniwersytet gubernatorowi Frieseł'owi, obwiniając o opór władzy, o formalne nieposłuszeństwo. Skutkiem tego zatargu było szereg rozporządzeń gubernatora, wzmacniających faktyczne i prawne staaowisko komisji.

Rektor Poczobut nie posiadał już sił do dalszej walki; przytłoczony „rozpaczą", wniósł dn. 18 V. 1799 r. podanie o zwolnienie ze stanowiska rektora.

Nowoobrany 27. VI. 1799 r. rektor Stroynowski zastosował nową taktykę w obronie praw Uniw. Rozpoczął on układy z komisją Repninowską. W wyniku tych układów powołano mieszaną deputację statutową, złożoną z przedstawicieli Uniw. i z delegatów Komisji. Deputacja odrazu rozbiła się na dwie przeciwstawne grupy, co udaremniło wspólną pracą.

Wówczas komisja sama, bez udziału Uniw. ułożyła statut i przedłożyła generał-gubernatorowi Kutuzowowi do zatwierdzenia.

Na kutuzowskiem *forum* Uniwersytet stoczył ostatnią walkę z przedstawicielami ideologji targowickiej. W sprawie ułożonego przez Komisję Statutu rektor Stroynowski przedstawił Kutuzowowi uwagi i wnioski. Uczony prawnik stwierdza, że założenie uniwersytet., nadanie im praw i przywilejów, oraz forma ich ustroju i rządu stanowią wyłączne prawo i prerogatywę tronu. „Wszelka zmiana starych instytucyj jest niebezpieczna, bo rzadko jest wolną od wpływów interesów prywatnych i widoków osobistych". „Omawiany projekt nowego statutu zawiera całkowitą dezorganizację Uniwersytetu, jego upadek i upodlenie".

Dalej rektor Stoynowski stwierdza ogólne zaniepokojenie i przerażenie z powodu omawianego projektu reformy ustroju Uniwersytetu i prosi generał-gubernatora, aby przedłożonym przez Komisję projektom reformy pozwolił dojrzeć przynajmniej do czasu, aż sam je dokładnie pozna, zbada i wysłucha szczerych przedłożeń Uniwersytetu.

W odpowiedzi na powyższy memorjał Stroynowskiego Komisja złożyła generał-gubernatorowi referat pod tyt. „*Notice sur l'université de Vilna*" W referacie tym Komisja oświadcza, że ma tylko jeden cel — „być użyteczną i popierać dobroczynne zamierzenia rządu. Cel ten byłby osiągnięty całkowicie gdyby odwieczne s k o s t n i e n i e Uniw. nie stawiało oporu".

„Reforma i całkowite przerobienie Statutu Uniw. jest konieczne. Rząd ją nakazał, ponieważ dawna republikańska Ustawa nie może być uzgodniona z obecną formą rządu.

Projekty, opracowane przeciwko autonomji Uniw. Wil. przez Komisję Repninowską, nie urzeczywistniły się. Wstąpienie na tron Aleksandra I zmieniło orjentację i tendencje rosyjskich władz zaborczych. Zasłużony rektor Poczobut w swojem sprawozdaniu z dnia 3. XI. 1802 mógł z dumą i radością stwierdzić, że dawna Ustawa normuje dotychczas wewnętrzne życie Uniwersytetu.

Rozprawę ks. ministra Żongołłowicza podaliśmy w najogólniejszem streszczeniu. W oryginale jest ona starannie wydokumentowana cytatami z korespondencji, prowadzonej z uniwersytetem w języku francuskim. Z przytoczeń powyższych uderzać musi dzisiejszego czytelnika, jak bardzo powtarzają się w historji niektóre motywy, nawet słowa, np. o potrzebie wytworzenia nowego gatunku ludzi, o „skostnieniu" uniwersytetu w starych formach, które już nie odpowiadają nowej formie rządu i t. p.

Zasługą niemałą ks. prof. Żongołłowicza jest, że te informacje historyczne tak starannie zebrał. Wyobrażamy sobie, z jakiem wzruszeniem śledził obecnie bieg wypadków analogicznych, już jako wiceminister oświecenia publicznego.

WYCHOWANIE NARODOWE

ZE STATYSTYKI SZKOLNEJ

DŁUGOLETNI naczelnik wydziału szkolnictwa powszechnego w Ministerjum oświecenia dr. Marjan Reiter, który położył olbrzymie zasługi przy organizowaniu naszego szkolnictwa, jest już od dwóch lat, jak wielu podobnie wartościowych ludzi, na przedwczesnej emeryturze. Pracy oświatowej jednak nie zaniechał; przeciwnie, bierze czynny udział w organizacjach nauczycielskich i oświatowych i od czasu do czasu ogłasza wymowne i treściwe artykuły o rozmaitych zagadnieniach szkolnych. Czytelnicy „Myśli Narodowej" pamiętają z pewnością kilka artykułów, zatytułowanych „Los Jaśka z Wólki", w których p. Reiter wykazywał w sposób niezbity, że nowa reforma jest najbardziej krzywdzącą dla ludu wiejskiego, gdyż cały subtelny system szkoły jednolitej zamknie dostęp do wyższej oświaty chłopcom włościańskim, których symbolicznym reprezentantem jest ów „Jasiek z Wólki".

Ta sama szlachetna troska o owych „Jaśków z Wólki" przebija w nowej rozprawie p. Reitera *), poświęconej specjalnie zagadnieniu pochodzenia społecznego uczniów w naszych szkołach średnich. Wobec obowiązku szkolnego, istniejącego w Polsce co do szkolnictwa powszechnego, wszystkie grupy społeczne mają w szkołach powszechnych taką ilość dzieci, jaka wypadałaby według ogólnej statystyki. Inaczej przedstawia się sprawa w szkolnictwie średniem, do którego rodzice wysyłają dzieci według swej dobrej woli, uświadomienia, możności kształcenia i stanu majątkowego. Szkoły średnie mogą więc dawać obraz woli, względnie możności społeczeństwa i badanie pochodzenia społecznego uczniów tych szkół jest nietylko interesujące ze względów statystycznych, ale w pewnych warunkach może dać odpowiedź na pytanie pierwszorzędnej wagi, bo tyczy się ono przyszłego oblicza naszej inteligencji.

W ten sposób postawiwszy zagadnienie, autor stara się rozwiązać je metodycznie, dając w kilkunastu tablicach

*) M a r j a n R e i t e r. „Młodzież szkół średnich ogólnokształcących i zakładów kształcenia nauczycieli w Polsce w/g zawodu i stanowiska w zawodzie rodziców w ostatniem dziesięcioleciu (1921 — 1931)". Warszawa 1933.

dokładne zestawienie ilości liczbowych uczniów szkół ogólnokształcących według zawodu i stanowiska rodziców za lata 1921, 1926 i 1931 r., przyczem osobne tablice są poświęcone wszystkim szkołom średnim, osobne szkołom średnim państwowym i znów osobne samorządowym czy też prywatnym. Wreszcie oddzielne tablice ilustrują seminarja nauczycielskie i pedagogja.

Każda z tablic poddana jest gruntownej analizie. Niepodobna w krótkiej notatce streścić tych wywodów; ograniczymy się też do ogólnego wniosku. Cechą charakterystyczną ruchu młodzieży w okresie dziesięcioletnim w szkolnictwie średniem jest cofnięcie się znaczne młodzieży wiejskiej: element wiejski we wszystkich swych ugrupowaniach wykazuje straty. Bardzo pouczający jest przekrój przeciętny klasy szkoły średniej w r. 1931. Otóż na jedną klasę wypadało uczniów 28.7, z tego synów

rolników, 4,1
przemysłowców i rzemieślników, 5,75
kupców 6,3
służby państwowej, 9
wolnych zawodów, 1,7
innych 1,9

Uderzająco małym jest odsetek dzieci rolników w państwie, którego ludność prawie w dwóch trzecich (65%) poświęca się rolnictwu. Przerażające wprost wrażenie robi zestawienie takich trzech cyfr. Na 1000 mieszkańców Rzplitej kształciło się w szkołach średnich w r. 1927/8 7 uczniów, przyczem na 1000 ludności rolniczej tylko 2,7 (w r. 1930) a na 1000 ludności żydowskiej 15 uczniów, czyli że ludność żydowska korzysta ze szkoły średniej prawie sześć razy intensywniej, niż ludność rolnicza, a więc ta ludność, która stanowi rdzeń narodu i rozstrzyga ostatecznie o losach państwa.

P. K.

ENCYKLOPEDJA SZKOLNA

Ukazał się pierwszy zeszyt encyklopedji dla młodzieży szkolnej „Świat i życie" („zarys encyklopedyczny współczesnej wiedzy i kultury"), wychodzącej pod redakcją D-ra Z. Łempickiego, prof. Uniw. Warsz. Dzieło wydawane przez Książnicę-Atlas, ma się ukazywać zeszytami miesięcznemi w ilości 10 zesz. rocznie, zgodnie z okresem roku szkolnego. Całość encyklopedji ma się składać z dwu części: pierwszej czterotomowej oraz drugiej jednotomowej. Obliczenie redakcyjne jest takie, że „przy każdym wyrazie, objaśnianym w części drugiej, t. j, w t. V, podane będą stronice, według których czytelnik znajdzie obszerniejsze objaśnienie o danym przedmiocie w czterech pierwszych tomach, t. j. w części pierwszej". Podział ten budzić musi poważne zastrzeżenia. Pominąwszy bowiem różne względy, które kierowały redakcją w ustaleniu tego podziału, nie ulega wątpliwości prosty fakt, że korzystanie z encyklopedji może się w praktyce okazać mocno uciążliwem przy wskazówce, widniejącej na końcu każdej strony: „czego nie znajdziesz tutaj, szukaj w tomie piątym". Rozczłonkowanie jednej organicznej całości i ze względów dydaktycznych wydaje się niecelowem.

Zastrzeżenia budzi również nieencyklopedyczny styl niektórych artykułów (np. L: Okręta o adwokacie), których autorzy nie przestrzegają niezbędnej we wszelkiego rodzaju encyklopedycznych kompendjach ekonomji słowa. Artykuł encyklopedyczny nie może nigdy wyglądać na artykuł popularyzacyjny, przeznaczony do niedzielnego wydania dziennika. Jasność i dokładność wykładu można i w encyklopedji połączyć ze skondensowaną formą encyklopedyczną (dowodem świetny i pod tym tym względem artykuł prof. Nitscha o akcencie, umieszczony w encyklopedji). W przeciwnym razie redakcja encyklopedji „Świat i życie" łatwo doprowadzić może swe wydawnictwo do imponujących i nieoczekiwanych rozmiarów, niepożądanych również i dla prenumeratorów.

Żeby już skończyć z usterkami, podkreślę nieszczerość redakcji w prospekcie, widniejącym na okładce pierwszego zeszytu: należało wyraźnie zaznaczyć, że encyklopedja „Świat i życie" przeznaczona jest dla młodzieży szkolnej, jak to czytaliśmy w prospektach, poprzedzających jej ukazania się. Czyżby chciano schwycić jednocześnie dwa zające: młodzież szkolnę i szerszy ogół? Cena wydawnictwa wydaje się wygórowaną (egzemplarz w pojedyńczej sprzedaży 6 zł., w prenumeracie miesięcznej 4.80), co jest stanowczo za wiele, zważywszy okoliczność, że encyklopedja jest pierwszem tego rodzaju u nas przedsięwzięciem, które trafia na szeroki i pojemny rynek: młodzież szkół średnich i powszechnych wraz z nauczycielstwem mogłaby dać bardzo poważną liczbę prenumeratorów przy nieco przystępniejszej cenie za zeszyt o 125 stronach druku, nawet z kilku tablicami rycinowemi. Przecież najprostsza kalkulacja handlowa mówi o małym zysku i wielkim obrocie.

Może wydawnictwo zechce na przyszłość spuścić nieco z tonu. A byłoby dobrze, gdyż mimo zaznaczonych błędów zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Zmobilizowało poważne siły naukowców-specjalistów z każdej dziedziny wiedzy (Witwicki, Nitsch A. Grzymała Siedlecki, Szperl, i in.). Treść artykułów dostosowana do poziomu umysłowego młodzieży szkolnej. Wyposażenie zewnętrzne encyklopedji dobre; tu drobna uwaga: mogło było wydawnictwo wystarać się o poprawniejsze w kroju czcionki sanskryckie, jeżeli już chciało koniecznie dać wzory pisma sanskryckiego.

JULJUSZ NOWAK

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Anegdotka krakowska (może na prawdziwym fakcie oparta) opowiada o pewnym „dostojnym jubilacie", któremu „w dniu tym uroczystym" postanowiono zafundować zbiorowe wydanie dzieł jego; cóż, kiedy okazało się, że wszystkie dzieła mogą się wygodnie pomieścić w jednym tomie! Zbiorowe wydanie dzieł Wacława Berenta, podjęte niemal dokładnie w 40-lecie jego pracy twórczej przez firmę Gebethnera i Wolffa, zamknie się w 9-ciu tomach, wliczając w to nieogłoszoną dotychczas w edycji książkowej powieść ostatnią Oczywista rzecz, dzieł literackich łokciem się mierzy, w czem innem leży ich wartość; dzieła Berenta bezsprzecznie powinny się były ukazać w wydaniu zbiorowem, jak już przed niemi dawno powinny się były ukazać dzieła Dygasińskiego, tak nikczemnie spławione przez niesumienną firmę. W dystansie, jaki dzieli wzajemnie wszystkie kolejno po sobie idące dzieła Berenta, a nie w czem innem, należy upatrywać główną trudność ich kompletowania; powtarzany często ostatniemi czasy frazes, jakoby Berent był „nieznany", „zapomniany", „niedoceniany" i „nieuznany", należy stanowczo między bajki włożyć. Trudno bowiem w to „nieuznanie" uwierzyć, gdy Berent dostaje już po raz drugi nagrodę literacką, gdy — jak bibljografja wskazuje — krytyka polska poświęciła mu w ciągu lat kilku więcej prac, niż (dajmy na to) Tetmajerowi w ciągu lat dwudziestu, gdy z katedr uniwersyteckich rozlegają się wykłady o „Żywych Kamieniach" (czego nie doczekał się Reymont, Kasprowicz i Wyspiański...), gdy pomimo pewnego braku aktualności drukowano po wojnie nietylko „Ozimine" (wydanie ważne ze względu na nowy tekst!), ale i „Fachowca" (w popularnem wydaniu!), dzieło młodzieńcze, bo w r. 1894 po raz pierwszy drukowane (Dębicki podaje niedokładną datę 1898). Prawda! Brakowało dzieła tego, które jest podwaliną znaczenia Berenta w literaturze polskiej. Konieczność ponownego wydania „Próchna" był tem pilniejsza, że ostatniemi czasy coraz to częściej zaczęły się pojawiać różne naśladownictwa, namiastki tego dzieła, nieraz fabrykowane wręcz wulgarnie. Od „Próchna" zaczęto — i słusznie — edycję zbiorową; tu Berent ukazał się oczom publiczności w największej swej potędze twórczej, „samoswój", jakby powiedział Żeromski. Teraz pojawił się i tom początkowy edycji, obejmujący dzieła młodzieńcze. Ze zbioru tego wykluczył autor rzecz swoją mniej znaną, i w książce nigdy nie wydaną, mianowicie „Nauczyciela", natomiast obok „Fachowca" dał piękne studjum pejzażowe p. t. „W puszczy". (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W południowym Maroku żyje pod przybranem nazwiskiem Izabela de Foix, bohaterka jednej z uprzednich powieści p. Henry Bordeaux. Na skutek bowiem dziwacznej amerykańskiej gry towarzyskiej t. zw. „*murder-party*", znaleziono umarłą, artystkę kinematograficzną Clarisse Villevert. Była zaś ona kochanką Georges d'Aigues... narzeczonego Izabeli. Okazało się też, że nie popełniła samobójstwa, ale została zabitą przez Izabelę. Ta ostatnia uszła sprawiedliwości. Nękana jednak wyrzutami sumienia sama wygnała się do Maroka i pracuje tam ciężko i w trudnych warunkach jako infirmierka. Życie ma jednak swoje prawa. To też zakochuje się w niej młody oficer, Jean de Brède. Serce Izabeli odpowiada żywem uczuciem na tę miłość, ale ukrywa je ona i nie chce poślubić Jana de Brède. Izabela bowiem postanowiła odpokutować za popełnioną winę i nigdy nie być już szczęśliwą. Młody oficer, któremu wyspowiadała się ze swojej przeszłości, stara się wszelkiemi siłami — wraz

z ojcem Izabeli — przekonać ją, że trwając w swem postanowieniu uczyni aż dwoje ludzi nieszczęśliwymi. Izabela ustępuje. Przypadek sprawia, że w chwili, w której godzi się wreszcie na rozpoczęcie nowego życia, w czasie przedstawienia w kinematografie widzi w jednej z dawnych ról swoją ofiarę, słyszy jej głos! Cała przeszłość naturalnie odżywa brutalnie dla Izabeli; zrywa ze swym narzeczonym, prześladowana wspomnieniami zmarłej, tej „*Revenante*“ (Plon édit.). Ten to tytuł właśnie nosi ta ostatnia powieść Henri Bordeaux, obserwatora wysoce bystrego współczesnej epoki, współczesnych obyczajów. Autor wprowadza je zręcznie do swoich powieści. Nie omieszka on jednak nigdy uwydatnić w nich także i strony moralnej życia, — będącej jego podstawą. Kiedy bowiem p. de Foix, pragnąc przekonać swą córkę, mówi, iż wszelką winę można odkupić, Izabela, nie zawacha się mu odpowiedzieć: — Tak, ale nie szczęściem! Wyrzutów bowiem i poczucia winy, żaden kompromis ludzki nie uśmierzy. Oto dramat „*Revenante*“, rozgrywający się na tle barwnych obrazów marokańskich. (I. B.)

*

W książce „*Les jours et les nuits des oiseaux*“ (*Stock édit*). p. Delamain wtajemnicza nas w życie ptactwa w czasie czterech pór roku, podobnie dla niego ciężkich lub słonecznych, jak i dla człowieka. Trzeba było znać doskonale obyczaje ptaków, by w sposób równie precyzyjny i poetyczny skreślić rozliczne perypetje oraz upodobania, słabości, wreszcie nawet i estetykę najrozmaitszych przedstawicieli ptasiego rodu. Książka, ciekawa, pożyteczna, nawoływująca wreszcie nietylko do zainteresowania się samym przedmiotem, ale także przemawiająca do uczucia, które powinno sprzeciwić się głupiej i niepotrzebnej zagładzie ptaków, tak zresztą pod wielu względami potrzebnych w życiu natury, a zatem i człowieka. (I. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

KAŻDA nowa wystawa młodego stowarzyszenia — jeśli ono ma znamiona żywotności — może nam przynieść jakieś niespodzianki. Nastawieni jesteśmy (i słusznie) na zmiany, wyrażające się postępem, lub innem podejściem do rozwiązywanego zadania, tak, że dzieła tych samych artystów, ostatnio oglądane, jeśli nawet nie ustępują poprzednim, nie wywołują już równie silnego wrażenia. To też losem artysty jest wieczna czujność, dobrowolny skazaniec, nigdy nie może zaznać spoczynku, gdyż ten właściwie równa się martwocie twórczej.

Wystawa „Szkoły Warszawskiej“ w IPSie zaznacza się liczniejszym, niż uprzednia, udziałem w niej członków stowarzyszenia, lecz w pracach niektórych znać jakby pewne osłabienie ambicji ciągłego kroczenia naprzód. Widać to już w obrazach M. Byliny, który, mimo b. dobrego „W marszu“, w reszcie wystawionych utworów posłużył się zapasem dotychczasowej umiejętności, nie wspartej nowym wysiłkiem. Werwie pendzla, dowcipowi inwencji tematycznej, nie dorównywa często strona malarska dzieł, pojętych nieraz zbyt plakatowo.

Podjęcie się portretów, o typie wyraźnie oficjalno-obstalunkowym, nie wyszło w rezultacie na dobre malarstwu Bartoszewicza. W „pejzażu zimowym“ jest artysta swobodniejszy, a więc zapewne i szczerszy.

E. Arct ma pejzaże, równie dobrze malowane, jak i poprzednio, a „Śnieg na Karowej“ wyróżnia się odmiennością tematu i szlachetnością rozwiązania kolorystycznego. Czy należy jednak dalej kroczyć po tej samej ścieżce, to znaczy doprowadzać środki malarskie do jeszcze większej finezji? Czy doskonałość, osiągnięta w pewnym zakresie, nie wymaga zrównoważenia z nią i pozostałych stron dzieła? Nietylko sposoby utrwalania wizji artysty, ale i ona sama posiada dużą, większą jeszcze od środków wypowiedzi rozpiętość i skalę gatunkową.

Wł. Koch wystąpił z obfitym plonem, w postaci 12-tu obrazów. Prace te świadczą o szczerym entuzjazmie dla stawianych sobie raz po raz, coraz to innych zadań plastycznych i w deformacji kształtu, niezawsze dostatecznie przekonywającej, wykazują wyraźny wpływ Kulisiewicza. Czy z tego powodu, czy też może z innych względów, widzimy te rozmaite podkreślenia kształtu linją, o charakterze nieraz — jak na malarstwo — zbyt graficznym. Żadna z prac, aczkolwiek dobrze mówią o bujnym talencie malarza, nie dorównywa skończenie dojrzałej, przemyślanej i dociągniętej, zeszłorocznej „Kobiecie z różą“.

Przemyśleniem, oszczędnem i rozważnem użyciem środków, szlachetnością wymowy, dyskrecją efektów odznaczają się najlepsze portrety Leokadji Bielskiej. Sztuka jest umiejętnością wyboru (ze spiżarni natury) i tak właśnie pojmuje ją artystka: obraz jej powstaje przez eliminację wszystkiego, co zbędne, lub niedostatecznie wymowne, tu niema żadnych przypadkowości, wycieczek w okolice głównego tematu — płótno zawiera skondensowany ekstrakt prawdy artystycznej.

Od czasu ostatniej wystawy Bielska zrobiła duże postępy.

Przedstawicielami czystego malarstwa są bracia Seidenbeutel. Chociaż ich obrazy, w porównaniu np. z utworami T. Roszkowskiej, są wierne przedewszystkiem poglądom, zwężającym sztukę do granic dobrego malowania, wykrywamy w nich łatwo również znamiona dekoracyjne. Składają się na nie duże, wyraźnie określone plamy zestawień barwnych. Plamy kolorów poszczególnych przedmiotów, nie uplastyczniany ch przez światłocień i traktowanych dość płasko. Te kolory, w obrębie powierzchni jednego przedmiotu, jeśli są różniczkowane, to b. subtelnie, tak że zdaleka każdy przedmiot stanowi jednolitą plamę. Jak dotychczas, bracia Seidenbeutel, nie wykazali umiejętności budowania kolorem kształtu.

T. Roszkowska ma kobiecą łatwość wymowy, a zarazem również niewieście nieumiarkowanie w częstowaniu nas obfitością opowieści plastycznej. Lubi efekty dosadne, nie krępuje się ich użyciem. Najbardziej dociągnięty jest mały obraz („Miasteczko“), mniej, niż inne, rozwinięty tematycznie, zato skromność fabuły wynagradzający z nadwyżką zwartością kompozycyjną.

J. Przeradzką anegdota nieraz pochłania tak całkowicie, że środki malarskie zdają się jej służyć przedewszystkiem dla wypowiedzenia treści literackiej, a nie plastycznej obrazu. Dlatego najlepsza jest wtenczas, gdy zredukuje anegdotę do *minimum* i dowcip ujawni w wypowiedzi żywego plastycznie pomysłu.

A. Rak pokazał drobne akwarele, rysowane tęgo, ujęte syntetycznie i malowane szeroko. Prace, aczkolwiek niewielkie rozmiarami, są rezultatem poważnie pomyślanych zadań.

U Palessy na podkreślenie zasługuje fakt nieunikania bardziej skomplikowanych fabularnie i zarazem plastycznie tematów.

Pozatem obrazy nieraz jeszcze mają cechy prac szkolnych.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

I. AZEF I DREYFUSS

KIEDY zeszłego roku grano w którymś teatrze „faktomontaż“ jakiegoś berlińskiego szrajbjingełesa o Dreyfussie, tak w notatkach reklamowych przed premjerą jak i w recenzjach po premjerze duży nacisk kładziono na to, że tragiczna ofiara „pomyłki sądownictwa i militaryzmu“ chrześcijan wogóle, to był żyd z pochodzenia. Sztuka w stolicy miała kolosalne powodzenie, tak u żydów, jak i u galicjanów z Krakowa, dziś „państwowców“ w Warszawie oraz całego wogóle „wewnętrznego najazdu“ — ponieważ mocno zohydzała niecierpiane przez najazd mundury niebieskie, zaś apoteozowała ofiarę z Czarnej Wyspy. Niedokąpana, zapocona i niepachnąca z emocyj artystycznych publika zalewała się łzami nad tragedją tej nadal niewyraźnej figury, która podczas wojny europejskiej, choć zrehabilitowana, nie zgłosiła się do armji, ale mieszkała sobie wygodnie w neutralnej Szwajcarji. W recenzjach z antyfrancuskiego, a w sanacyjnej stolicy oklaskiwanego „faktomontażu“, każdy szabesboy uważał za swój obowiązek nie tylko zaznaczyć, ale rozwieść nad tem, że ta ofiara, to żyd. Aktor odstawiający kliszę też pono był odpowiednio ucharakteryzowany.

Teraz w r. 1933 Teatr Polski, w spadku repertuarowym po bandzie dyrektorów, którzy jakiś czas okupowali teatr (wewnętrzny najazd), musiał wystawić „faktomontaż“ dwóch sowieckich architandeciarzy o Azefie. Zaraz z początku „zaistniał“ problem, czy tytułowy typ ma i fizycznie, zewnętrznie być fotomontażowy, to jest opasły, nalany, seksualistyczny, zoologiczny, żargonujący sadysta. Taka maska odrazu zraziłaby 90% publiczności, jaka jeszcze ma pieniądze na teatr. Wobec tego zdecydowano maskę indyferentną, broń Boże nie przypominającą niczem typów bankierskich, tuczących się smakołykami od Hirschfelda. To też widocznie wpłynęło i na ekipę recenzentów i szabesboyów. Ani jeden nie uważał za stosowne rozwieść się okazyjnie nad problemem semickiej psychologji, ani jeden nie zaznaczył, że w każdym semicie politycznym musi być pewien procent azefizmu, a tylko w Azefie jest 100%. Ani jeden nie wspomniał, że Jewno Azef był synem Fiszela Azefa, krawca z pod Grodna, z Łyskowa. Ani jeden z recenzentów gazeciarskich nie przeczytał przedtem ani powieści Romana Gula: „Generał Bo“, ani też Borysa Nikolajewskiego 350-stronicowej (w wydaniu niemieckiem) monografji najohydniejszego zbrodniarza, jakiego dotychczas wydała ludzkość, podwójnego Judasza i poczwórnego Kaina, tego „Frankenstejna“ *octopus*'a, antychrystycznej ośmiornicy, dowódcy rewolucji bolszewickiej, który po rzeziach, po pożogach i po bratobójczej wojnie domowej całkiem spokojnie w Berlinie jako normalny burżuj, filister, fabrykant konfekcji damskiej („*Biusthalter*'ow“) przeżył sobie do roku 1926 jako „*Herr* Niedermayer!...“

Nędzni ramociarze sowieccy nie kładą też żadnego nacisku na spotęgowany, demoniczny semityzm Azefa; dając dwa „ciepłe“ typy semickie Dory (Brillant) i Silberberga, mogli sobie byli śmiało pozwolić na uwydatnienie w Azefie elementów psychicznych: Kaina, Judasza, Trockiego i tys. Jak w Rasputinie ani jednem słówkiem nie zaznaczyli, że ten Lombrosowski bydlak był tylko kukłą w łapach bandy braci Rubinsztajnów, przez spasionych żydów petersburskich opłacaną i suggerowaną, tak też w „Azefie“ gadzina z pod Grodna jest sobie omal jakimś turko-tatarem, Czuwaszem-Czumakiem, ale przenigdy Litwokiem tego samego kresowego gatunku, który w r. 1812 („O wiosno, kto cię wówczas“...) wedle zgodnego głosu wszystkich historyków, dostarczał szpiegów obustronnych równocześnie dla wojsk napoleońskich i dla Kutuzowa.

Pochodzenie i rasę Azefa przemilczono tedy w Warszawie: *Timor Judaei suprema lex esto!*

Coprawda i w „Róży“, granej kilka lat temu, nie zwrócono uwagi na to, że prowokator w sztuce Żeromskiego, to historyczny Szloma Eckstein.

II. JAZZ-BANDA

BRODATY Benjamin Crèmieux z Paryża napisał o M. Prouscie, że od lat 50 jest to największy prozator Francji. Solidarne a zajadłe żydzisko zapomniało o dwudziestu innych. O nowej książce J. Bendy pisze w godzinę po jej wyjściu dwudziestu paryskich żydów. Gdy wyda nową powieść rosyjski, reakcyjny, emigrancki żyd Aldanow (Landau) natychmiast o dziele piszącego po francusku „reakcjonisty“ pojawiają się najżyczliwsze recenzje żydowskich postępowych i radykalnych recenzentów i to w prasie także niemieckiej (*Weltbühne*). Wytworny i wykwintny żyd alzacki André „Maurois“, pisząc listy z Ameryki, wśród autorów „europejskich“, popularnych w Ameryce, wylicza na ośmiu pięciu żydów, między nimi wulgarnego ramociarza Ascha czy Arscha. Niech w Paryżu wystawi swą nową komedję żydek Henryk Rothschild ze znanej rodziny „baronów Rothschildów“, używający bezczelnie pseudonimu Pascal (André Pascal), wszystkie recenzenty żydy zapominają o egzystencji Lenormanda, Sarmenta, Acharda, Giraudoux, Romainsa i innych, a Rotszyldoski tandetny fabrykat „*Moulin de la Galette*“ reklamują jako arcydziełko *sui* (od *sus*) *generis*... A kiedy znów warszawsko-paryski Poznański (André Savoir) skleci wredny paszkwil na *ex*-przyjaciela swego Saszę Guitry i Ywonnę Printemps, by uzyskać *succès de scandal* po swych ostatnich klapach, to w obronę obrzydliwego pornokratę bierze odrazu stado żydków, piszących po rozmaitych „*Soir*'ach“, „*Lu*“, „*Vu*“, przeważnie criminoloidów zbiegłych, dezerterów i uciekinierów z wojska polskiego w wieku poborowym *(les petits Azefs)*.

Co się potem i dziwić, że gdy u nas „Anatol“ Stern napisze nową powieść (*sic*), w dwie godziny gotów z recenzją „Namiętnego Pielgrzyma“ namiętny publicysta Fajnowicz-Wasserzug...

Co znaczy omnipotencja solidarnej pansemickiej reklamy, można się przekonać, oglądając w kinie berlińską „znakomitość“, tragiczkę Bergner w filmie „Ariane“, trywialną sklepówkę z gatunku nalewkowskich „fantazyj“, o „wdzięku“ i manierach najtypowszych „koleżanek Goldberżanek“, kąpiących się przed... ślubem, a rozkochanych w Krzywickiej-Tylickiej.

III. LAMENTY

W PUŁKOWNIKOWSKIEJ „Gazecie Polskiej“ współpracuje obecnie kilkunastu semitów (na początku było kilku, resztę wprowadzili tylnemi schodami w nocy) mianowicie: Bersohn *alias* „Otmar“ informuje (w tak krytycznych czasach!) o Sowietach, Flor Sokołow poucza i informuje o tem, co się dzieje w Anglji i w Berlinie (w tak krytycznych czasach!). Historykiem „polskiego „*Temps*“ (*sic*) jest Henri Eile, (Grodzka ulica, Kraków), essaistą (od Norwida) Napolion Hirszband, onże Cezary Jellenter. Nadto: Liński, Lessman i jeszcze trochę; Hiża, margrabinę, Cezarego Łagiewskiego i innych kato-łyków dawno spławili.

Literacki dział prowadzi sam pan Kaden-Bandrowski czy też Brzeski, mniejsza z tem. Otóż tego p. Kadena zdolnego i zabiegliwego beletrystę i nowelkarza, solidarna „ferajna“ semicka wydęła na konjunkturalną znakomitość literacką. Niektóre buchaltery i komiwojażery, wychwalając po sklepach towar Kadenowski, miały czelność porównywania próbek tego barchanu z adamaszkami. Dużo nawrzeszczał się, zachęcając przechodniów do kupowania, detalista z firmy Breiter. Jakiś czas barchany Kadenowskie szły i klijentela, dziadoszowska coprawda, była zadowolona. Ale kundmany są zmienne. Nawet Dziadosze już nie chcą słyszeć o radosnej twórczości tak mizernego Prousta. A tymczasem nieszczęsny pisarzyna z „Gazety Polskiej“ nie może się pogodzić z prostym faktem, że na rynku i po sklepach są już nowe barchany i nowe perkale, podczas gdy jego desenie brzeskie już wyszły z mody.

Talent? Owszem. Był talent. O dziesięć deka większy od talentu... T. Ulanowskiego, nie mówiąc już o powieściopisarstwie Witkiewicza (o 10 deka więcej). To, że się o Kadena literackich wyrobach i mówi i pisze i tyle nim miejsca jeszcze i teraz zajmuje, jest tylko dowodem mistrzostwa w propagandzie i reklamie, z jakiem żydostwo z najprzeciętniejszej utalentowanej sklepówki robi... wielką Bergner, wielkiego Joelsona, wielkiego Chaplina i t. p.

A może i Azef to był sobie tylko normalny Szloma Eckstein z P. P. S., a tylko go tak potwornie wydęli, żeby i tem nam zaimponować?

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jedni tylko sanatorzy mają się dobrze, ale też, trzeba przyznać, umieją za to być wdzięczni. Dowodem są stawiane przez nich — za cudze pieniądze — pomniki.

*

Jeden z posłów w Sejmie, stwierdziwszy motywy żarliwości, z jaką się łamie autonomję uniwersytecką, rzekł słowami Horodniczego z „Rewizora“:

— No dobrze, dajmy na to, Aleksander Macedoński jest wielki, ale poco z tego powodu łamać krzesła skarbowe? Gogol miał humor!

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.